

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 10 MAJA 1950 ROKU

NR. 19

TREŚĆ NUMERU: Samowystarczalność czy ekspansja — *Stefanja Podhorska-Okolów*. W wiecznej nocy i ciszy — *J. Putiatycz-Surynowa*. Oczy ciemne — *Marja Kunceniczowa*. Przemysł ludowy a samowystarczalność gospodarza — *J. Prażmowska*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu. Blaski i nędze naszej samowystarczalności włókienniczej — *Well*. Zwyczaje towarzyskie — *Mary*. Znaczenie wikliny koszykarskiej — *J. Neyman*. Poidło dla pszczoł — *A. D. Kasze* — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta* i *P. Feliks*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Bawełna i sztuczny jedwab na letnie sukienki — *Well*. Dodatek: „Kultura Ciała”. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

SAMOWYSTARCZALNOŚĆ CZY EKSPANSJA

Przed wiekami istniał człowiek samowystarczalny. Stworzyła go konieczność. Musiał sobie sam wszystko zrobić: broń i narzędzia, odzież i siedzibę.

Od tej epoki niemowlęcej dzieli nas olbrzymia przestrzeń, którą wypełniła specjalizacja jednostki i standaryzacja przemysłu. Spotyka się jeszcze czasem po zapadłych wiejskich kątach rodzime genjusze samowystarczalności, umiejące wszystko zrobić — od łapci z lipowego łyka, aż do chałupy, woza i młocarni; przed wojną nie były wyjątkiem (zwłaszcza na Kresach) dwory, w których na własny użytek, a często i „na eksport”, wyrabiano wszystko, począwszy od dziegciu, mydła i kadzidla, kończąc na meblach stylowych i powozach.

Ale te domorośle gniazda samowystarczalności gospodarczej, powołane do życia najczęściej koniecznością przerobienia i zużytkowania na miejscu nadmiernej ilości wytwarzanych surowców, zmiotł prawie doszczętnie pęd nowoczesnych form uprzemysłowienia wytwórczości i normalizacji dróg wymiany handlowej.

Idea samowystarczalności zbankrutowała na terenie gospodarki indywidualnej, ale zaczęła rozszerzać swoje kręgi na gospodarke zbiorową. Była to ewolucja całkiem naturalna, choć, jak zobaczymy, niezawsze racjonalna. Po wsiach trzymano się systemu wyrabiania wszystkiego w domu, w imię źle lub dobrze zrozumianej oszczędności, tradycji, przyzwyczajenia lub poprostu fantazji, — po miastach grasowała gorączka „zagranicy”, nowości, osobliwości, pasja odwieczna, odziedziczona po przodkach, co nad wszystko cenili stal damasceńską, konie arabskie, perskie kobierce, ljońskie materje, sukna flandryjskie,

wina węgierskie, włoskie malowidła, koczki angielskie i książki francuskie.

Ta pasja, na którą wyrzekają wszyscy satyrycy dawnej Polski, musiała mieć jednak źródła głębsze poza snobizmem, chęcią błyszczenia, żądzą zbytku, modą. Sprowadzano pewne towary zagraniczne nie tylko dlatego, że takich właśnie w kraju nie było, ale że umiano ocenić ich niezaprzeczalne zalety: trwałość, piękno, smak.

Demokratyzacja i pauperyzacja czasów nowszych wprowadziła tu nieznanym przedtem czynnik: taniość. Nabywano skwapliwie zagraniczną tandetę, w myśl źle zrozumianej oszczędności, a najczęściej z bezmyślną chciwością, — byle taniej, najlepiej darmo! Psychologja kupującego skomplikowała się i poszła dwiema przeciwnymi drogami. Jedni dawali pierwszeństwo towarom zagranicznym, „bo są tańsze, choć gorsze”, inni dlatego, że „są wprawdzie droższe, ale znacznie lepsze, trwalsze i gustowniejsze”. Jedni i drudzy mieli swoje racje; rozumowanie pierwszych było krótkowzroczne, drugich — obliczone na dalszą metę, ale i jedni i drudzy bezwiednie ulegali psychozie nieufności do towaru krajowego.

Kupcy postarali się wykorzystać tę słabą stronę, grając na upodobaniach swych klientów, jak na cymbalkach. Rozpoczęła się jedyna w swoim rodzaju żonglerka etykietami, plombami, tajemniczymi stemplami w obcych, nieraz niemilosierdzie kaleczonych językach. Był to szyfr, niezawsze zrozumiały nawet dla tych, którzy się nim posługiwali.

Dzisiaj, dzięki modzie samowystarczalności, ta cała maskarada ulega pośpieszemu odcharakteryzowaniu. Czasem poprostu nicuje się maski. Po wierz-

chu zagraniczna, od spodu krajowa, jak kto woli. Demaskuje się bez żadnych względów rozmaite renomowane piękności zamorskie. Niejedna warszawska elegantka z tajoną rozpaczą w duszy dowiedziała się przytem, że już przed wojną paradowała w tafcie krajowej, która po wielu latach nieskazitelnej francuskiej opinii zdradziła się ze swoim skromnym pochodzeniem... z miasta Łodzi. Ha, trudno! przecież i Molierowski mieszczanin na starość dopiero dowiedział się, że całe życie mówił prozą...

Ale nie martwmy się. W rozwianiu tych złudzeń nie jesteśmy odosobnieni. Na konferencji prasowej w Izbie przemysłowo-handlowej opowiadano nam, jak kupcy na kontynencie, ulegając upodobaniom klienteli, zaopatrywali sztuki krajowych wyrobów wełnianych stemplem: „Schrack in England“. Nie oszukiwali przytem nikogo, bo napis ten oznacza poprostu „dekатыzowany w Anglii“. Ale klient wierzył świącie, że nabywa towar angielski i był zadowolony, a kupiec... nie wchodził w kolizję z prawem. I wilk syty i koza cała. Sytuacja stała się komiczną, gdy do Anglii zaczęły napływać zapotrzebowania na wyroby Schracka. W ten sposób powstają postacie mitycznych fabrykantów, należących do tej samej rodziny, co Kanitwersztan z niemieckiej powiastki dla dzieci i kupiec Comp z przedwojennego szyldu.

Zdarzają się wypadki jeszcze ciekawsze, a dla naszego przemysłu specjalnie pochlebne, np.: jeden z naszych podróżników widział w Bagdadzie sztukę angielskiego materiału, która nosiła napis: „Made in England — Bielsk“. Albo fakt, że jedna z naszych fabryk w Bielsku wyrabia niemal wyłącznie na eksport sukno bilardowe, którem kryte są bilardy w całej Europie. Niemiec, francuz, włosz nie wie, że gra w bilard na polskim suknie. My też nie wiemy, że jedna z naszych fabryk, wyrabiająca fezy tureckie, przechodziła ostry kryzys, kiedy w Turcji zakazano używania fezów i musiała przerzucić się na inny typ czapek.

To są rzeczy bardzo ciekawe i mile lechące nasze ambicje nowicjuszów i niedowiarków polskiej ekspansji. Przenoszą one środek ciężkości naszych rozważań za punkt skrzyżowania się dwóch prądów naszej wytwórczości: koncentrycznego i ekscentrycznego — dla siebie i dla obcych; prądów, które nie powinny z sobą walczyć, ale muszą się równoważyć.

Zanim dotkniemy ich bliżej, posłuchajmy, co mówią cyfry. Otóż w ciągu r. 1929 sprowadzono do Polski z zagranicy:

tkanin wełnianych za 11 miljonów;

tkanin bawełnianych za 37 miljonów;

tkanin jedwabnych za 48 miljonów.

Czy te 100 miljonów mogły całkowicie zostać w kraju? Bezwątpienia — nie. I to nietylko dlatego, że bawełna u nas się nie rodzi, a hodowla jedwabników tkwi jeszcze w kokonie, ale że traktaty handlo-

we nie pozwalają nam się całkowicie izolować od napływu towarów obcych. Skoro chcemy, ażeby kupowano od nas węgiel, trzodę chlewną, jaja, gęsi i t. d., musimy i my coś sprowadzać; w pierwszym rzędzie to, czego u nas niema i nigdy nie będzie, np. pomarańcze, dziś przedmiot codziennego spożycia, niezastąpiony czynnik zdrowotny, obłożony skandalicznym wprost cłem.

A zatem, hasło bojkotowania towarów zagranicznych, doniedawna jeszcze tak bardzo popularne, jest grubą pomyłką i nie może się ostać wobec układów międzynarodowych, mających na celu prawidłowy obieg krwi ekonomicznej po całym świecie. A więc nie bezwzględny bojkot, ale racjonalna selekcja. Nie negatywne stanowisko wobec wszystkiego, co obce, ale aktywne wobec wytwórczości swojskiej.

Mamy len, wełnę, skóry w ilości dostatecznej nie tylko na pokrycie zapotrzebowań rynku wewnętrznego, ale i na eksport. Byłoby grzechem nie do darowania wypuszczanie poza granice naszego kraju tych produktów w postaci surowców, tembardziej, że doświadczenie wykazało, iż po przerobieniu ich u nas na miejscu mogą skutecznie rywalizować z najlepszymi wyrobami zagranicznymi (tkaniny bielskie, obuwie). Byłoby również grzechem ekonomicznym i dowodem bezmyślności sprowadzać odnośne towary z zagranicy. Czasem jednak jednorazowy eksperyment w tym rodzaju wychodzi na zdrowie i producentom i konsumentom. (Najazd obuwia „Bata“ skłonił naszych szewców do obniżenia cen, a skwapliwych nabywców taniej tandety przekonał o wyższości towaru krajowego).

I tu dochodzimy do kulminacyjnego punktu akcji propagandowej w zakresie t. zw. samowystarczalności. Pierwszym etapem tej akcji musi być udoskonalenie wyrobów krajowych, tak, żeby w danej dziedzinie dorównały zagranicznym.

To się nie da zrobić w ciągu paru miesięcy, ale zrobione być musi. Inaczej cała akcja będzie tylko zakłamaniami, bańką mydlaną, wydmuchaną tchnieniem popularnych hasel w próżni.

Drugim etapem, niemniej ważnym, jest wzbudzenie w publiczności wiary w dobroć towaru krajowego. Producent zależny jest w równej mierze od siły nabywczej rynku, jak i od psychologicznego nastroju konsumenta. A ten nastrój wywołać można umiejętnie stosowaną sugestją, uchwyceniem w lot momentu psychologicznego.

Kupiectwo polskie wybrało sobie okres od 30-go kwietnia do 12-maja na szeroką akcję propagandową letnich tkanin krajowych. Moment jest wybrany trafnie, teren przygotowany, masy nastawione przychylnie i pełne raczej dobrej woli, niż sceptycyzmu.

Chodzi o to, żeby ten jednorazowy wybuch reklamowy zmienił się w stałą i solidną placówkę informacyjną o źródłach naszej wytwórczości.

Stefanja Podhorska-Okolóm.



Institut Głuchoniemych i Ociemniałych.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA.

W WIECZNEJ NOCY I CISZY

Institut głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie. — Tradycje „Bluszcza”. — O skale Tarpejskiej i o prawie Justynjana. — Trochę statystyki. — O szkołach w Polsce, w Niemczech i o „Wyższym Zakładzie Naukowym” w Waszyngtonie. — Co pisze p. M. z Lenwall'ów Czosnowska o zakładzie w Rzymie? — Trzy etapy historyczne zakładu warszawskiego: 1) Książ Falkowski i ludzie dobrej woli; 2) czasy rosyjskie; 3) dziesięciolecie niepodległości. — Pałaca sprawa.

Institut Głuchoniemych i Ociemniałych w Warszawie — to prosty, biały budynek na placu Trzech Krzyży, który znamy tak dobrze zzewnątrz. Nie wolno nam na tem poprzestać, nie powinniśmy pozostać „głusi i ślepi” na sprawę, którą musi odczuć każde ludzkie serce, a zwłaszcza — każde serce kobiece.

„Bluszcz” z przed lat 30-tu poświęcił tej sprawie artykuł, z wdzięczną pamięcią przechowywany w archiwach Instytutu. 30 lat! Kawał czasu! Pożółkły karty naszego tygodnika w szafce archiwalnej. Posłuchajcie, co mówi dyrektor Manczarski, człowiek, który od lat 40-tu piastuje to stanowisko i oddany jest sprawie całą swą wiedzą głęboką i... sercem. Posłuchajcie:

— Oto mamy w Polsce 40.000 głuchoniemych. (Aż tyle!). W wieku szkolnym, od lat 7-miu do 15-tu — około 8.000. Z tego 1000 uczy się w odpowiednich instytutach, 7000 zaś pozostaje bez nauki! W Instytucie Warszawskim kształcą się 163 dzieci. Budżet wyrównywiają częściowo stypendja, częściowo subsydjum rządowe w sumie 30.000 zł. Dzieci naogół opłacają wpis. Zakres nauk obejmuje program zwykłej szkoły powszechnej. Jeżeli weźmiemy pod uwagę przeszkodę kolosalną w postaci kalectwa dzieci i wpływa-

jących stąd trudności—dojść musimy do przekonania, że jest to rezultat nadzwyczaj dodatni: *lat 15 — ukończona szkoła powszechna.*

— Co powoduje kalectwo u dzieci?

— W 60 procentach są to nieszczęśliwe wypadki, wypływające z niedozoru wychowawczego w pierwszych latach dzieciństwa, oraz następstwa szkarlatyny. Przeważająca część dzieci należy do sfery, gdzie czuła opieka matki i wychowawczyni schodzi do zera. Na 163 dzieci — Zakład Warszawski posiada zaledwie dziesięcioro dzieci z inteligencji. Alkoholizm i syfilis powoduje głuchoniemotę wrodzoną, 7 procent zaledwie notujemy głuchoniemoty dziedzicznej. Tu należy zanotować kaprysy, jakim podlega dziedzictwo, oraz atawizmy. Oto spotyka się normalne dzieci rodziców głuchoniemych, podczas kiedy wnuki — przychodzą na świat „w wiecznej ciszy” smutnego dziedzictwa swych dziadków. Są rodziny, gdzie synowie słyszą, a córki są głuche, lub naodwrot.

— Co do poziomu inteligencji wychowanków: czy głuchoniemota przytępia rozwój umysłowy?

— Naogół — tak. Bądź co bądź, kalectwo utrudnia normalny światopogląd. Mamy redaktorów

pism — głuchoniemych, mamy ludzi wybitnych, o których nie chcę wspominać, lecz są to sporadyczne wypadki. W 50 proc. te wybitne jednostki rekrutują się z ludzi, posiadających resztki słuchu i mowy.

Dyrektor Manczarski, widząc moje zainteresowanie sprawą, wręcza mi swoją pracę, napisaną w roku 1917-ym z okazji stuletniego jubileuszu Instytutu. Jest to poważne dzieło, owoc sumiennej pracy i głębokiej wiedzy, niezmiernie przytem interesująco napisane. Przed naszymi oczami rozsnuwa się jakoby historia głuchoniemych:

„Skala Tarpejska w starożytnej Grecji opowiedziałaby nam niejedną tragedję pozbawionych słuchu dzieci.

Prawo rzymskie za Justynjana pozbawiało ich możności stanowienia o sobie, a później w Hiszpanji byli i tacy, którzy sprzeciwiali się nauczaniu głuchoniemych mowy głosowej, w imię zasady: „Co Bóg związał — tego rozwiązywać nie należy“.

Jakże pięknie odbijają od tej okrutnej ciemnoty pierwsze poczynania ludzi dobrej woli, ludzi, którzy chcieli osłodzić kalectwo nieszczęśliwym rzeszom, dać im oświatę i możność zarobkowej pracy. Takimi ludźmi był w XVIII wieku francuz: Karol de L'Épée, założyciel pierwszej szkoły dla głuchoniemych we Francji i niemiecki nauczyciel ludowy — Samuel Heinicke. I myśmy nie byli ostatni. Interesowali się u nas tą sprawą: biskup wileński Jan Kossakowski i hr. August Iliński (r. 1805).

To były zaczątki—to byli pierwsi u nas ludzie dobrej woli. Obecnie Polska posiada kilkanaście szkół dla głuchoniemych. Z tego Warszawa ma dwie (jedna miejska dla przychodzących). Kongresówka dawna posiada jeszcze szkoły w Łodzi i w Wilnie. Małopolska ma szkoły w Krakowie i we Lwowie (ta ostatnia obchodziła niedawno stuletni jubileusz).

Poznańskie stoi na pierwszym miejscu w Polsce. Przyczynił się do tego stanu rzeczy w dużej mierze przymus szkolny pod dawnym zaborem niemieckim. Każde więc województwo posiada swoją szkołę dla głuchoniemych. Poznań i Kościan mają szkoły stare; w Wejherowie i Rybniku szkoły powstały już za czasów odrodzonej Polski. Polska pozatem ma jeszcze 3 szkoły dla głuchoniemych żydów, posiadające prywatne subsydja. Szkoły te znajdują się w Warszawie, w Łodzi i we Lwowie.

Wszystkie te szkoły są na poziomie szkół powszechnych.

W Niemczech zakłady dla głuchoniemych prowadzone są wzorowo, ale i tam nie mogą się poszczycić wyższym zakładem naukowym. Ameryka jedynie posiada w Waszyngtonie Wyższy Zakład Naukowy, t. zw. „Liceum Gallaudet'a“, gdzie jest kilka fakultetów i wydział specjalny... „języków obcych“ (!).

A jak stoi ta sprawa we Włoszech? Mam przed sobą pismo głuchoniemych, organ stowarzyszenia nauczycieli, w którym p. M. z Lenwałów Czosnowska pi-

szcze nam o swej wizycie w Zakładzie „Głuchych“ w Rzymie. Na via Nomentana Zgromadzenie Córek Kalwarji prowadzi tę szkołę. Od 30-tu lat, „czytanie z ust“ jest w codziennem użyciu w tym zakładzie. Pozatem p. Czosnowska wglębia się w fachowe informacje, które szerokiego ogółu może nie zainteresują; odnosi naogół bardzo dodatnie wrażenie zarówno pod względem naukowym, jak i społecznym. „Czystość, wesóły wygląd, dobroć wychowawczyń i czuła ufność dzieci względem sióstr, świadczą o poświęceniu i całkowitem oddaniu, jakie cechuje tę instytucję“.

A u nas? U nas Instytut dla Głuchoniemych w Warszawie powstał w ciężkich warunkach, rozwijał się w niewoli, a mimo to osiąga rezultaty niepowседневne. Powstał on dzięki miłosierdziu księdza Falkowskiego w roku 1817-tym. Niezwykły ten człowiek kształcił się na koszt Komisji Edukacyjnej w Wiedniu, a składał doktorat w Krakowie (wracając z podróży Wisłą do Warszawy na galerze). Instytut początkowo mieścił się w Pałacu Kazimierzowskim, gdzie było zaledwie 9-ciu uczni. Własny dom, który do dziś istnieje (z wielkimi zmianami), wybudowano w roku 1826. Ksiądz Falkowski — to jeden z cichych bohaterów, który serce, życie i wszystkie kapitały, jakie posiadał, oddał dla ludzi nieszczęśliwych. Mimo tych poświęceń — pracy jego nie oceniono należycie, tak, że podawał się kilkakrotnie do dymisji i, zniechęcony, chciał wstąpić do klasztoru.

Od roku 1896-go zaczął się drugi etap historii Instytutu: czasy rusyfikacji Apuchtinowskiej. Utworzono oddziały dla dzieci prawosławnych (w roku wybuchu Wojny Światowej było tych dzieci 69). Pierwszym dyrektorem rosjaninem był Ziemięc, następnie Błagowieszczenski. Ten ostatni był karany sądownie. Rządy swoje rozpoczął od burzenia długoletniej pracy swoich poprzedników: narobił długów, nauczycielską kasę pożyczkową zwinął, ogródek botaniczny zmarnował, gospodarstwo doprowadził do upadku, nauczycielom w murach szkolnych zabronił mówić po polsku i pozdejmował polskie napisy...

Cóżby powiedział na to ksiądz Falkowski, gdyby żył? Oto tańczono i flirtowano w kaplicy zakładowej, pozawieszano ikony na miejsce świętych obrazów, a dzieciom zabroniono mówić o przeszłości Polski. Każdy obrazek święty i każda książka przechodziła przez cenzurę. Kupione przez księdza Jagodzińskiego (prefekta) obrazki Matki Boskiej Częstochowskiej porozwieszano w niewidocznych miejscach. Jakże wzruszająco na tle tych stosunków wygląda strajk dzieci ociemniałych! Biedne dzieci kalekie... mali bohaterowie, cierpiący za Polskę!

A potem Polska zmartwychwstała... Dziś pisać mogę o uśmiechniętych dziewczęcych twarzyczkach, o wesółych, rumianych chłopcach, czytających po polsku i o wzruszającym śpiewie patryjotycznym dzieci ociemniałych...

MARJA KUNCEWICZOWA

OCZY CIEMNE

Nad furtką, przybity do dwóch wysokich żerdzi, widnieje szyld: „Krajewo“. Ludzie poważni objaśniają bez min: folwark rodziców tak się nazywał i tak — dla milej pamięci — nazwała panna Walentyna swój domek z ogródkiem. Jeżeli natomiast zapytać aptekarzowej, albo urzędniczek z poczty — robią dowcipy; mówią: „Pewnie dlatego „Krajewo“, że jasnie dziedziczka matinki żydówom kraje“.

Nieprawda: rysuje kredą na materjale, a kroją pod jej okiem „dziewczeta“. Wogóle panna Walentyna — wobec klienteli, tkanin i pomocnic — jest, jak kolonista wobec tubylców: eksploatuje kraj garsonek, ale zetknięć unika.

W salonie wisi portret panny Krajewskiej. W owalnej ramie z mahoniu biust, zapieniony riuszkami z *crêpe lisse'y*. Postać, górą rozkwitnięta w loki, szumna od trenu z *balayusé'ą*, podobna do nabrzmiałej fali. Panna Walentyna, zaraz po sprzątnięciu, zamyka salon. Klientki czekają na ganku, albo w sieni. Szyje się i przymierza w pracowni. Tamże posiłki. Śpi panna Krajewska w ciepłym pokoiku za kuchnią. Salon — właściwe Krajewo — rzadko wietrzony, rzadko dostępny dla „osób innej sfery“, wyparowuje — z wachlarzowatej kanapy, z kilkunastu książek, z foteli, przykucniętych na krzywych nogach — resztę szlacheckiej aury. Imieninowe „równianki“, bigos z podróbkami, blade-lila perfumy, myśli sine z satysfakcji. Panna Walentyna nie ma i mieć nie pragnie łazienki, do którejby rano śpieszyła odkręcać zimne, lub gorące upusty. Przychodzi do salonu kąpać się — w dobrych czasach. Dotyka sprzętów, fotografii, klawiszy szpinetu, strun własnego serca — z tych wszystkich rzeczy spływa na nią wspomnienie, jedyna woda żywa dla staromodnego człowieka.

Panna Krajewska jest pierwszorzędną krawcową. Klosze, fulary, cashà, godety, Femina — nie jej nie zaskoczy. Poblążliwie słucha gorączkowej trzepaniny klientek. Zapluwają się. Same nie wiedzą, czego by już pożądać... Przecina te histerje: zapowiada, że z trzech metrów i na tę figurę może być tylko *to*. Nic innego nie robi, gdyż dba o firmę. Pokazuje żurnale: plecy takie, przód taki. Jeśli nie — dowiedzenia. Słuchają się. Podczas ostatniej miary stoją przed lustrem sztywne: nieśmiało zerkają na paryską urodę swoich ciał nadwiślańskich. Kiedy pęcznieją z rozkoszy i — wślizgując należność — nierzadko chcą całować w rękę, panna Walentyna chowa dłoń; uśmiech dalekości, jak pajęczyna, przesłania jej usta.

— Proszę położyć na stole. Dobrze, dobrze — dziękuję.

Panna Krajewska nie znosi dziwactw. Nigdyby

nie chodziła ubrana w mantylkę i w żabot, jak ciocia Femcia. POCO chamskie dzieci mają poniewierać stroje, w których się zachwycało hrabiczów? Nosi suknię „princesse“ — gładką, szarą, do kostek. Z tej sukni nikt nie żartuje, bo jej nie widać: jest elizejskim cieniem między tualetami.

Tak najlepiej — ani pośmiewisko, ani ordynus.

Dziewczętom przy szyciu wolno śpiewać tylko przyzwoite piosenki. Kiedyś stolarzówna zaczęła wywodzić: „Kupujcie publiczki... gorące publiczki...“. Panna Walentyna podniosła głowę z nad maszyny i słuchała. Nagle zastukała kościstym palcem w stół, jak się stuka w szybę:

— Dosyć. Proszę przestać. Nie życzę sobie.

Stolarzówna była zuchwała: tego dnia umilkła, ale nazajutrz chichotała, szeptała w sieni, a — ledwie podręczne dostały robotę — poruszyła parę razy grdyką i zapiała namiętnie:

„Twe oczy ciemne,
zamglone i tajemne...“

Mistrzynie wstrzymała kółko. Zakaz wyraźnie podfruwiał na jej wargach, nie mogąc się oderwać. Dziewczyna ciągnęła:

„Oczy ogromne,
szalone, nieprzytomne...“

Panny przestały szyć: co Krajecha Mańce zrobi, co? Patrzyły łapczywie...

Walentyna wstała. Poszukała ręką czegoś koło siebie; nie znalazła.

„Kocham was, czarne oczy moje,
kocham was, cudów dwoje...“

Wyszła.

W pracowni zamarło. Stolarzówna teraz dopiero złapała stracha, Gieńka i Marynia szeptały: „ty bezwstydnico, ty!“ Najmłodsza Stasia rozsypała zatraski, które miała podobierać do pary, więc na wszelki wypadek wlaźła pod stół.

Panna Krajewska tymczasem, wolno przemierzwszy sionkę, otworzyła salon. Wsunęła się tam. Wzburzona, zawadzała o krzesła. To dziwne, to niepojęte! Tyle lat nie myślała już o *tem...* W dzień, ani w nocy, ani nawet w majowy wieczór. Aż dopiero teraz na schyłku życia — takie sny!! Zbudziła się dzisiaj... Te oczy... oczy pana Pawła... świeciły jeszcze przed nią wyraźniej, niż jutrznia za oknem. Całe rano chodziła, jak zabłąkana owca. Ledwie ma jak zaczął przy pracy blednąć, znowu — Oczy!!!

„Twe oczy ciemne,
zamglone i tajemne...“

Dla Boga! czyż zaświat zmówił się ze światem na spokój uciszonej duszy?

Panna Walentyna przysiadła na kanapie i sięgnęła po album. Karty rozstały się same w miejscu, gdzie tyle razy leżała dłoń, mokra od łez, gdzie tyle zeschło kwiatów letnich i jesiennych.

„Oczy ogromne,
szalone, nieprzytomne...“

Oto one. Patrzą z malutkiej fotografii. Patrzą z dawno uschniętego dnia — ze dnia rozłąki. Panna Krajewska wróciła do pracowni.

Miesiąc już dobiega, jak dziewczęta śpiewają chórem:

„Kocham was, czarne oczy moje...“

Przechodzień, mijając „Krajewo“ między 8-mą godziną rano a 6-tą popołudniu, słyszy teraz zawsze tego bluesa, rozsiekanego ostremi głosami.

Panna Walentyna pozwala. Czuje, że jakieś podskórne źródło przetarło warstwę zasad, po której od wielu lat stąpała bezpiecznie: fala rozlewa się coraz szerzej i codziennie łądu pod nogami ubywa.

Nigdy panna Walentyna nie wchodziła w prywatne sprawy klientek. Ileż to razy panna Lonia i panna Menia — cioteczne siostry — błagały jedna przed drugą: „Niech pani mi zrobi taką samą suknię, jak ma tamta smarkata“. — „Paniusiu droga, niech pani aby nie robi tej pokrące takiej samej sukni, jak mnie!“.

Panna Krajewska słuchała, nie folgując żadnemu mięśniowi. Oświadczała zimno: „Wykonuję każdy obstalunek, jeśli odpowiada moim warunkom. Reszta mnie nie obchodzi“.

Teraz pannę Krajewską obchodzi cudza sprawa. I to nie związana z krawiectwem: czy mąż pani Rośnickiej przyjdzie obejrzeć szpinet?

Tak się zdarzyło:

Panna Walentyna szperała po ogrodzie, oglądając groszki — czy ich nie należy podwiązać. Furtka skrzypnęła; pani Rośnicka stała na ścieżce i odbierała z czyichś dłoni pakiet w gazecie. Spozobegłszy gospodynię, zawołała: „Ach, jak to pysznie, że pani niezajęta, bo mam taki ważny, ważny interes!“.

Wykrzykiwała, a przez każde słowo przebijał śmiech, jak płomień przez papierek. Wyciągnęła ramię nad furtką; wtedy Walentyna wyjrzała zza groszków: jakiś pan całował w rękę panią Rośnicką. „Wrócisz za godzinę, kochanie?“ — mówił. Podniósł oczy i panna Krajewska zadrzała.

„Oczy ciemne,
zamglone i tajemne...“

Cały ogród smugami przepłynął w czarność. Jakto? Żywe? Są takie oczy — żywe — w ciele obcego człowieka?

Pani Rośnicka chciała mieć suknię w sobotę za

tydzień. Z kremowego fularu w kwiatki. Żeby była kloszowa, letnia, ale strojna. Bo mąż przyjechał; dostał urlop z orkiestry na dziesięć dni. Zanim wyjedzie, w sobotę urzędzą małe przyjęcie. Śpieszyła się; dobrze, że wynajęła pianino — mąż tymczasem gra sobie.

W chwili, kiedy o pianinie zaszła mowa, serce panny Walentyny, nagle wezbrane szaleństwem, stanęło. A wargi powiedziały same:

— Czy mąż pani widział kiedy taki... taki szpinet?

Nastąpiły zachwyty, okrzyki, podziwy.

— Nie, nie, rzeczywiście, jakie чудо! On pasjami lubi stare instrumenty. Doprawdy! Doprawdy, on musi to zobaczyć!!

Dwa dni już minęły. Materiał w kwiatki fałuje — sfastrygowany — na manekinie; czeka miary i solidnych ściągów. Panna Krajewska ma przed sobą jeszcze jedną noc płaczu, odurzającego, jak krew.

„Oczy ogromne,
szalone, nieprzytomne...“

Przed zgaszeniem lampy wyjmując z albumu fotografię pana Pawła — przybliżyła ją do światła. Potem szeptem: „spojrzcie to samo“ i wsuwa kartonik pod poduszkę. A jeszcze potem: zaczyna smakować łyż.

Rano, w czwartek, Walentyna zamyka się w salonie. Otworzyła szpinet. Flanelową ściereczką wyciera klawisze, namaszcza terpentyną drzewo. Niebawem palisandrowe pudło błyszczy, klawiatura szczerzy żółtkę zębów. Panna Krajewska sama wnosi manekin z fularem. Dmucha na mahoniowe i orzechowe blaty, stawia róże na siatkowej serwecie. Żurnal z zagiętym różkiem leży pod wazonem. Mistrzynie staje w drzwiach pracowni:

— Gieniu, jak pani Rośnicka przyjdzie, przyprowadź ją do salonu.

Wraca na drugą stronę i siada przed własnym portretem. Taka była *wtenczas*; tak ślicznie ubrana. Nie w szary cień, tylko w obłok puszysty.

Czeka. Żeby jeszcze raz — zanim wieczność roztopi wszystko — żeby ciemne oczy spoczęły na puszystym obłoku. Zdejmuje portret. Drżącymi rękami okurza go i stawia nad klawiaturą, wsparty o kandelabr.

Czeka. Czas ołowiem krąży po jej żyłach.

— Proszę pani, właśnie pani Rośnicka.

Klientka wbiega, a panna Walentyna czeka jeszcze, ślepa i głucha z jedyne go pragnienia.

— O, już — widzę — pani droga przygotowała sukienkę. Dobrze wyjdzie ten fason w fularze? Prawda, pani złota?

Rośnicka zdejmując paciorki, zdejmując jedwabny pullover, zdejmując spódnicę...

Panna Krajewska dźwignęła się z kanapy. Sięga do manekinu, obnaża czarny kadłub. Z kwiecistym płatem w ramionach stoi przed białą nagością, ledwie przyćmioną kawaleczkiem jedwabiu.

— Jak pani myśli wykończyć dekolt?

Walentyna, milcząc, podaje fular. Podczas gdy ten zwolna obleka drobną postać, krawcowa zbiera szpilki. Wreszcie klęka i cały ich pęczek bierze w usta: wygląda to na torturę.

Pani Rośnicka kicha.

— Mój Boże, kataru dostałam! Wszystko przez męża...

Obraca się po torebkę.

— Ach, i cóż za pamięć! Nie powiedziałam mu o szpinecie.

Pani Rośnicka głośno splata dłoń. W tej samej chwili Gienia otwiera drzwi — strzęp bluesa przylatuje z pracowni.

„Kocham was, czarne oczy moje...”

Panna Krajewska jedną ręką wspiera się o podłogę, drugą oddala Gienię, te słowa — i ostatnie szaleństwo.

PRZEMYSŁ LUDOWY A SAMOWYSTARCZALNOŚĆ GOSPODARCZA

Znaczenie przemysłu ludowego w kraju rolniczym, jak Polska, jest ogromne. Znaczna część ludności intensywną pracę w swoim zawodzie prowadzi tylko przez $\frac{2}{3}$ roku w przybliżeniu. Zimowe miesiące są w znacznej mierze odciążone pod tym względem dla rolników i ich rodzin. Każdy z dorosłych członków rodziny rolniczej rozporządza w tej porze roku kilkoma godzinami wolnego czasu dziennie. Jeśli pomnożymy te godziny przez ilość ludzi, utrzymujących się wyłącznie z pracy na roli, otrzymamy kolosalną cyfrę godzin robotnika straconych, lub zużytych zupełnie nieprodukcyjnie.

Tymczasem zużytkowanie tego czasu przez rolników na dodatkową pracę rękodzielniczą, czy przemysłową, dałoby poważną pozycję w ogólnym dorobku gospodarczym i przyczyniłoby się wybitnie do podniesienia dobrobytu ludności wiejskiej, najbardziej bezpośrednio narażonej na klęski nieurodzaju, gradobicia i t. p. i tak bezapelacyjnie dotąd uzależnionej od konjunktur handlu ziemiopłodami.

Zachęcanie naszego ludu do zajęcia się dodatkową, nie odrywającą od zasadniczego warsztatu, pracą, odpowiadającą psychice i możliwościom tego ludu, znalezienie ujścia dla jego zdolności twórczych — to zadanie ważne już nie tylko pod względem gospodarczym, ale i kulturalnym.

Drogę do rozwiązania tego zagadnienia wskazuje nam wielowiekowa tradycja przemysłu ludowego, zachowana u nas w Polsce w wielu okolicach w najczystszej i od setek lat niemal niezmienionej formie.

Rozwijający się handel i przemysł fabryczny stopniowo zabijał i wypierał przemysł ludowy, to też wiele jego gałęzi już zanikło, w wielu okolicach kraju wymarł zupełnie.

Najwięcej rozpowszechnionym i najsilniej jeszcze stojącym przemysłem jest tkactwo. Ludność wiejska do dzisiejszego dnia używa płótną wyłącznie własnej roboty, a w wielu okolicach, jak Kurpie, Wileńszczyzna, Nowogródzczyzna, tkactwo osiągnęło wysoki poziom artystyczny. To samo można powiedzieć o ceramice ludowej.

Te cechy artystyczne wyrobów przemysłu ludowego są podstawą, na której oprzeć się mogło jego odrodzenie, są gwarancją jego materialnego powodzenia.

W całym świecie zwrócono uwagę na piękno wyrobów ludowych. Wyroby, noszące wybitne piętno odrębności narodowej, stały się towarem poszukiwanym i chętnie nabywanym.

To też kraj taki, jak Polska, w którym tyle okolic uprawia jeszcze przemysł ludowy w jego tradycyjnych, odwiecznych formach, może się uważać za wyjątkowo szczęśliwie uposażony.



Haft łowicki.

Na znaczenie przemysłu ludowego zwrócono jednak uwagę stosunkowo niedawno.

Dopiero w ostatnim dziesiątku lat XIX-go stulecia powstała w b. Kongresówce pierwsza placówka, której celem była opieka nad wytwórczością ludową i jej popieranie. Była to Sekeja Przemysłu Ludowego przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. W kilka lat później przekształciła się ona w samodzielne T-wo Popierania Przemysłu Ludowego.

Jednocześnie w dawnej Galicji, we Lwowie, powstał Krajowy Patronat Rękodziel i Drobnego Przemysłu.

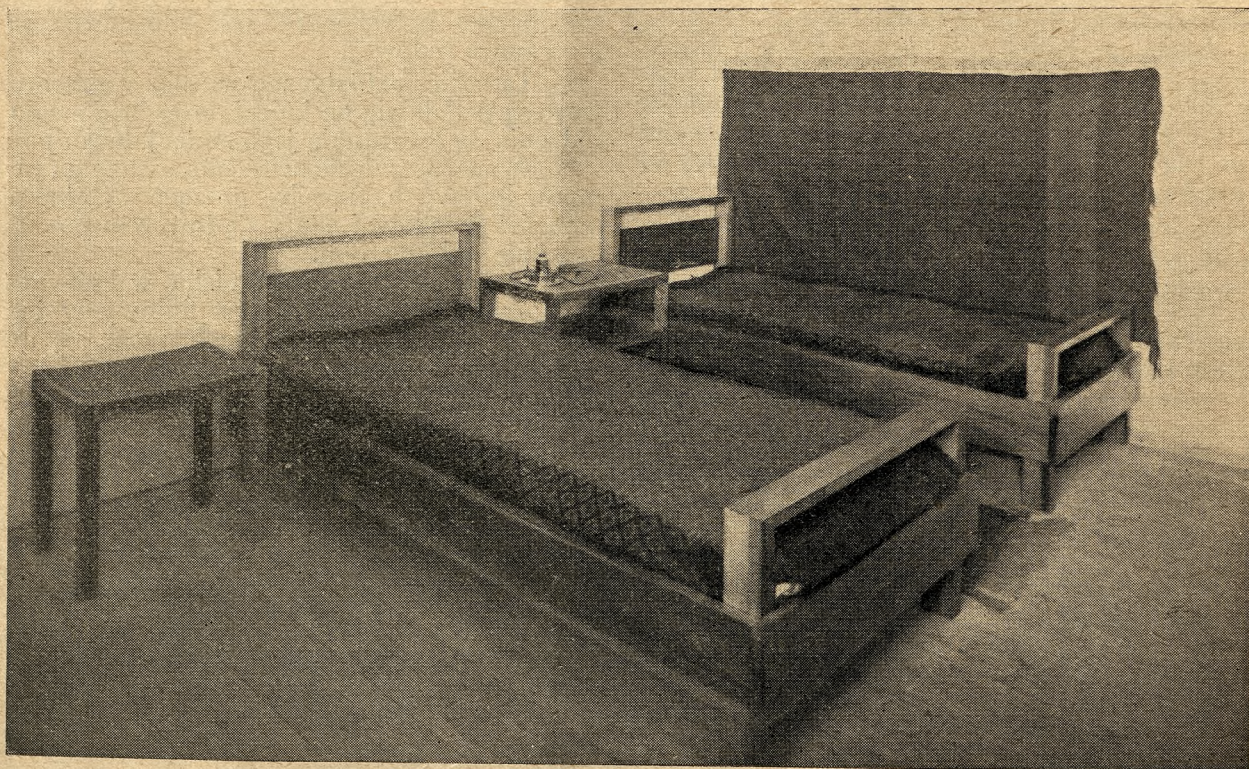
Obie te instytucje, pracując pod rządami zaborców, nie mogły, naturalnie, rozwinąć swej działalności tak, jakby tego wymagały rzeczywiste potrzeby kraju. Wojna europejska przerwała pracę tych instytucyj.

Po odzyskaniu niepodległości, sprawa opieki nad przemysłem ludowym stała się poprostu palącą. Zwrócili na niego uwagę cudzoziemcy, których wojna zetknęła z Polską. Niemcy np. nabywali chętnie tkaniny i pasy wileńskie. Różne misje zagraniczne, zwłaszcza amerykańskie, zainteresowały się przemysłem ludowym, niejednokrotnie czyniąc próby pobudzania go i organizowania na własną rękę i wytwarzając popyt na jego wyroby. Momentalnie też zainteresowali się nim miejscowi spekulanci, którym bynajmniej nie chodziło o racjonalne kultywowanie przemysłu ludowego, lecz o własne korzyści finansowe. Zaczęli go więc po swojemu ulepszać i powiększać jego wydajność, w rezultacie zabijając zupełnie ręczny przemysł chałupniczy rywalizacją pseudo-ludowej fabrycznej tandety. Za przykład może tu służyć historia pasiaków łowickich, na których spekulacja zaczęła żerować już przed i w czasie wojny, gdy tylko rozpoczęła się w kraju propaganda wyrobów ludowych.

Spekulanci wyzyskali odrazu wzmożony popyt na tkaniny łowickie, i ponieważ przemysł ludowy nie mógł należycie szybko zwiększyć produkcji, ani przystosować jej do wymagań nowych odbiorców, zaczęli podsuwać swoje wyroby, przypominające w technice pasiaki, lecz nie mające nic wspólnego pod względem artystycznym z umiejętnie dobranymi, mocnymi barwami prawdziwego łowickiego wełniaka. Te pseudo-ludowe wytwory, o przykrych zestawieniach barwnych, kupowali jednak ludzie o mniej wyrobionem poczuciu estetycznym i mniej znający przemysł ludowy, sądząc, że właśnie popierają ten przemysł i spełniają obowiązek patriotyczny.

W rezultacie rozwieleniona tandeta zaczęła wypierać rodzimą twórczość nawet w miejscu jej powstania, na wsi, i dziś spotykamy łowiczanki, ubrane w okazy, pochodzące z żydowskich fabryczek i stamtąd wiodące swój artystyczny rodowód.

Przedwczesna w tym wypadku propaganda, której nie towarzyszyło równoczesne poparcie i zorganizowanie drobnych domowych warsztatów, wytwarzających przedmioty zapotrzebowania, miała fatalne skutki dla przemysłu ludowego w Łowickiem, zarówno pod względem ekonomicznym, jak i artystycznym. Przedewszystkiem w niezorjentowanym ogóle społeczeństwie wyrobiło się mniemanie, że pasiaki — to jedyny okaz polskiego ludowego tkactwa, następnie opinia o tych wyrobach kształtowała się na okazach tandety, nie zadającej sobie nawet tyle trudu, aby bodaj kopjować dla produkcji fabrycznej dobre, ludowe wzory. Wreszcie inwazja tych barbarzyńskich, o krzykliwych kolorach, wyrobów, nie przystosowanych absolutnie do współczesnego wnętrza, ani wogóle w urządzeniu mieszkań nieprzydatnych, wywołała w społeczeństwie przesyt i niechęć do ludowych wyrobów wogóle.



Tkaniny ludowe w zastosowaniu do nowoczesnego wnętrza.

To też dziś ta „swojszczyzna“, jaką możemy znaleźć niemal w każdym sklepie włókienniczym, zasługuje bynajmniej nie na propagandę, ale raczej na energiczne zwalczanie.

Propaganda przemysłu ludowego musi iść równocześnie z popieraniem jego rozwoju i to rozwoju po właściwej, tradycyjnej, nie wypaczającej jego charakteru, linii. Pracę taką prowadzą powstające niemal w każdym województwie Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego. Organizują one wytwórców poszczególnych gałęzi we spółdzielnie, a dla zbytu ich wyrobów otwierają punkty sprzedaży: Bazy Przemysłu Ludowego. Zadaniem Towarzystw Popierania Przemysłu Ludowego jest okazanie drobnym wytwórcom pomocy w urządzeniu warsztatów i nabywaniu surowców oraz w technicznym ulepszaniu produkcji, a następnie w sprzedaży wyrobów. Hasłem zaś artystycznym jest niewywieranie nacisku na twórczość ludową i chronienie jej od szkodliwych wpływów, wywieranych pod tym względem przez nieświadomych lub nieuczciwych pośredników i spekulantów.

Przejdę tu znowu do przykładów.

W okolicach, uprawiających na szerszą skalę tkactwo, od wieków farbowano przędzę w domu, według przepisów farbiarskich, przekazywanych z pokolenia w pokolenie. Wędrowni kramarze przwieźli mniej kłopotliwe w użyciu, tanie, lecz mniej odporne na światło i pranie barwniki, przyczem, korzystając z nieświadomości klienta i zupełnej niemożności dochodzenia przez niego ewentualnych strat, dawali towar taki, na którym sami mogli zarobić najwięcej, nie licząc się absolutnie z tem, że zły i niewytrzymały barwnik wpłynie ujemnie na wartość tkaniny.

Jeszcze później tkaczki wiejskie zaczęły nabywać gotową farbowaną przędzę, posiadającą te same wady.

Aby przeciwdziałać tego rodzaju destrukcyjnym dla ludowej twórczości wpływom, Tow. Popierania Przemysłu Ludowego organizują przy spółdzielniach tkackich farbiarnie, wysyłają na wieś instruktorów, zbierają stare, ludowe przepisy farbiarskie, wypróbują je i doskonalą.

Podobnie postępują i w innych dziedzinach: hodowli, domowej przeróbki surowca, udoskonalania techniki ręcznej produkcji i innych.

Dziś zresztą przemysł ludowy nie znajduje się już wyłącznie pod opieką instytucyj społecznych. W r. 1924, na mocy uchwały sejmu, powstał przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu Komitet dla Przemysłu Ludowego, jako organ doradczy dla rządu.

Dziś mamy do zanotowania nowy krok naprzód w sprawie przemysłu ludowego. Jako rezultat wspólnych wysiłków Rządu i Reprezentacji Towarzystw Popierania Przemysłu Ludowego, powstała specjalna organizacja kredytowa pod nazwą: „Kasa Spółdzielcza dla Przemysłu Ludowego i Domowego“. Ma ona zapełnić tę lukę, jaką w pracy popierania drobnego przemysłu stanowiła niemożność korzystania z kredytów instytucyj bankowych, ze względu na nieprzystosowanie banków i techniki ich operacyj finansowych do tak specjalnej gałęzi wytwórczości, jaką jest przemysł ludowy.

Do zadań jej należeć będzie popieranie racjonalnych inwestycji w przemyśle ludowym, oraz uzdrowienie warunków handlu jego wytworami.

Obecnie bowiem wytwórca często zmuszony jest

do ponoszenia ciężaru kredytu, dając towar swój w komis, lub też do sprzedawania go po zbyt niskich cenach, byle za gotówkę. Udzielanie pożyczek instytucjom, skupiającym w swych rękach handel artykułami przemysłu ludowego, pozwoli ciężar kredytu przenieść z wytwórcy na kupca.

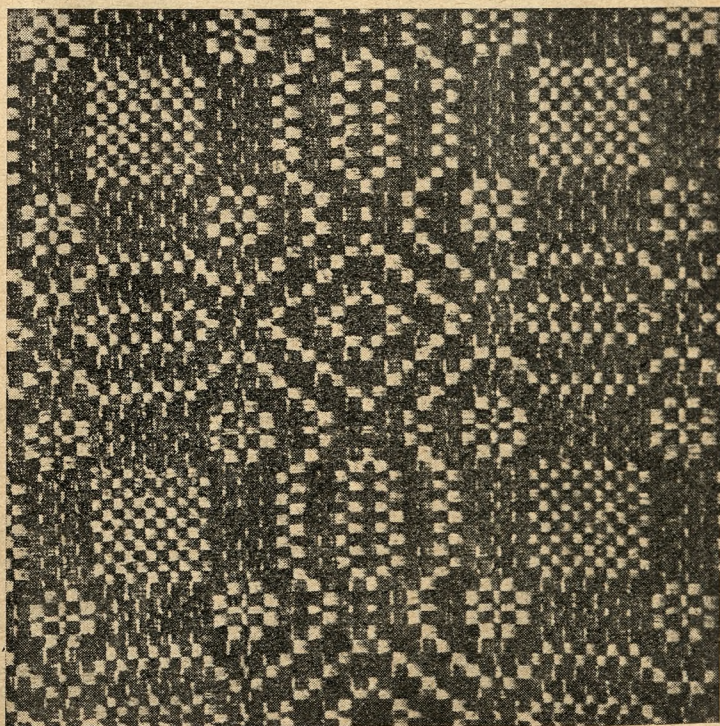
Nie tyle jednak ze względu na powstanie Kasy Spółdzielczej (jakkolwiek fakt ten posiada wielką doniosłość) sprawa przemysłu ludowego powinna dziś zainteresować szeroki ogół społeczeństwa, lecz ze względu na aktualną propagandę samowystarczalności gospodarczej.

Przy dzisiejszym stanie przemysłu ludowego, cały szereg jego wyrobów może z powodzeniem zastąpić rzeczy obce, górując nad nimi zarówno pod względem artystycznym, jak i praktycznym. Wyroby te znakomicie dadzą się użyć przy dekorowaniu i meblowaniu współczesnych mieszkań. Tkaniny, nadzwyczaj mocne, o barwach spokojnych i szlachetnym ornamentem, odporne na działanie słońca i pranie, nadają się doskonale, jako obicia prostych współczesnych mebli. narzuty na tapeczany, portjery i t. p. Świetnie też wyglądają, jako pokrycia do biedermajerowskich jesionowych mebli, których tak jeszcze dużo u nas się spotyka.

Meble z wikliny, bardzo odpowiednie do hallu, na werandę, czy do podmiejskiej willi, są tańsze od trzeźnowych, a kto chce się przekonać, jak artystyczne formy posiadają takie meble, niech zwiedzi Bazar Reprezentacji Tow. Popierania Przemysłu Ludowego w Warszawie.

Hafty łowickie — to arcydzieła, których zazdroszą nam wszyscy cudzoziemcy, zapoznający się z naszą sztuką ludową, a koronkowe serwetki z cieszyńskiego Śląska mogą być ozdobą każdego five o'clock'u i tak świetnie godzą się z modą, dopuszczającą właśnie tylko takie małe koronkowe cacka.

J. Prażmowska.



Obicie na meble. Wzór ludowy.

Z ŻYCIA EKRANU

FILMY POLSKIE.

Filmy polskie ciągle jeszcze najchętniej opierają się o literaturę, choć związek ten rzadko bywa szczęśliwy; literatura nie lubi służyć swej przyrodniej siostrze Filmji za podnózek i nieraz płała jej figla, skoro tylko ta zapragnie ją wyzyskać.

Takim wyzyskiem właśnie było sfilmowanie „Kultu Ciąła” Srokowskiego. „Pociągający” tytuł oraz fakt, że książka ta kiedyś stanowiła sensację literacką i... towarzyską, były impulsem w wyborze jej, jako scenariusza filmowego. Literatura zemściła się; jeżeli powieść ta miała nawet w swoim czasie jakąś artystyczną wartość — dziś należy ona do historii, zaś przeniesiona na ekran, traci wszelką rację istnienia.

Wyrośliśmy już dawno z tych egocentrycznych dramatów, których bohaterem był zawsze malarz, rzeźbiarz lub inny artysta — „ofiara” kobiety-wampira. Konflikty takie, o ile są, tak, jak tu, oderwane od życia, koturnowe i nieszczerze — nikogo dziś nie wzruszają. Fala tężyny, zdrowia, siły, kult radości życia i rytm nowoczesności, bijący z ekranu — eliminuje zeń wszystko, co nie jest już historią i stylem, a jeszcze — współczesnością, mogącą znaleźć bezpośredni oddźwięk widowni.

Dzisiejsze filmy kameralne, psychologiczne muszą mieć inne podłoże, ażeby dały się ująć w odpowiednie ramy wizualne.

Na przeróbki filmowe Żeromskiego musimy się zgodzić, chcąc wierzyć, że istotnie są one propagandą jego dzieł wśród tych warstw, do którychby inną drogą nie dotarły. Przypisać trzeba, że ze wszystkich dotychczasowych przeróbek, „Uroda życia” jest najlepsza. Nic to, że powieść jest zmieniona, gdyż było to konieczne dla budowy filmu i stworzenia kulminacyjnego punktu dramatycznego o charakterze kinowym, zaś ideowa strona niewiele na tem ucierpiała.

Jednakże „Uroda życia” pod względem reżyserskim nie zdradza tego rozmachu, jakim odznaczał się najlepszy dotychczas polski film: „Z dnia na dzień”.



Nora Ney i A. Brodzisz. Scena z „Urody życia”

W miłości Rozluckiego i Tatjany nie wyczuwa się tej „siły fatalnej”, która, wbrew wszystkiemu, pcha ich ku sobie, pomimo to, że obie role zagrane są bardzo dobrze (A. Brodzisz i Nora Ney). Reżyser nie silił się na inwencję w scenach miłosnych. Wyzyskał raczej swe zdolności w oddaniu epizodów charakterystycznych (podczas bójk w restauracji, w wagonie kolejowym). Że w tem celu, przekonaliśmy się już w roku zeszłym w „Policmajstrze Tagiejewie”.

To, co nas „bierze” w „Urodzie życia”, to — Żeromski: przeżywamy raz jeszcze to, co przeżywalimy, czytając go. Za usługą scenarzysty i reżysera jest fakt, że przynajmniej nie tracili na ekranie całkowicie ezaru książki, ale czy obecny widz odnajdzie w „Urodzie życia” walory kinowe, które zastąpią mu to, co my widzimy w tym filmie — na to pytanie nie umiałabym odpowiedzieć. Mam wrażenie, że obraz ten, oglądany objętymi oczami ludzi, dla których podobne dramaty są tylko mniej lub więcej zajmującą bajką — słowem, oglądany bez udziału serca — nie może porwać, ani zachwycić. Brak mu tego fluidu, złożonego z tajemniczych powiązań kształtów i ruchów, który przenika bezpośrednio do wrażliwości widza i trzyma ją w swej władzy.

Dawno nie widzieliśmy polskiego filmu, w którym dużą rolę gra typ degenerata, a był przecież okres, kiedy filmiarze nasi czuli nieprzeparty pociąg do prezentowania nam alkoholiczków. Dziś znów alkoholik wkacza triumfalnie na ekran i to pod protektorem... Bolesława Prusa („Dusze w niewoli” — reż. Trystana). To, że wkroczenie jest właśnie triumfalne, zawdzięcza swemu odtwórcy, którym jest Solski. Jest to kreacja chwilami zbyt teatralnie patetyczna (ekran wymaga tłumika), niemniej jednak — świetna. Na tle niewyrobionego zespołu odcina się tem silniej, przypominając jakieś prowincjonalne przedstawienie, gdzie wystawia się naprz. „Hamleta” dla jednego „gościnnego występu”.

„Dusze w niewoli” nie można rozpatrywać pod kątem filmowego artyzmu, gdyż parę ładnych plein'air'ów, to nie jest jeszcze kino. Film ten należy raczej traktować, jako dydaktyczny (wprawdzie amerykańskie filmy propagandowe są jednocześnie — artystyczne); powinien być zakupiony przez Tow. Walki z alkoholizmem i w tym sensie eksploatowany. Ale poco mieszać do tego literaturę? Choć, kto wie? może Prus, wielki społecznik, cieszyłby się, że nazwisko jego użyte jest do propagandy akcji o takim znaczeniu humanitarnem, jak walka z alkoholizmem.

W pasji „przystosowywania” literatury do ekranu nie darowano również Zapolskiej („Moralność pani Dulskiej”). Z głosnej, w swoim czasie, sztuki teatralnej zrobiono „wolną przeróbkę”, czyli Zapolska dała firmę — resztę zrobił scenarzysta, obliczając słusznie, że tego rodzaju spółka zawsze będzie dlań korzystna, bez względu na to, jak wypadnie jego praca. I znów niewiadomo, czy cieszyć się, czy martwić, że film niepodobny jest do sztuki teatralnej: przenoszenie teatru na ekran jest nonsensem, ale czem jest zniekształcanie utworów literackich? Jest to sprawa, którą powinny zająć się Związki Literackie, gdyż choroba przeróbek zaczyna przybierać rozmiary epidemii, często dla literatów krzywdzącej.

Stosunek Zapolskiej do „dulszczyzny” w filmie zupełnie odpadł. Reżyser nie wydobyl nastroju „tragifarsy”, a jaskrawy realizm niektórych scen graniczy z ordynarnością, budzącą niesmak. Traktując rzecz w oderwaniu, przynajmniej należy, że pewne epizody filmu wypadły bardzo dobrze, przynajmniej pod względem połączenia efektów wzrokowych z dźwiękowymi (tańce na weselu, niektóre sceny miejskie, podwórko). O to, że całość szwankuje pod względem techniki dźwiękowej (djalogi, brak ujednostajnienia obrazu z dźwiękiem), nie mamy pretensji: primo — jest to pierwszy polski film dźwiękowy, secundo — strona techniczna dźwiękowców zagranicznych też często pozostawia wiele do życzenia. Nie możemy jednak pochwalić tego, że, mając coraz większą możność tworzenia w Polsce filmów mniej lub wię-

cej artystycznych (w „Moralności pani Dulskiej zaprezentowała się znów niezmiernie korzystnie nowa siła aktorska w osobie Deli Lipińskiej) — nasi wytwórcy zdradzają tak mało ambicji w tym kierunku, zadowalniając się schlebianiem najordynarniejszym gustom i — co najgorsze — nadużywając dla tego celu „firm“ literackich.

Może to brzmi paradoksalnie, ale tym, kto broni naszej kinematografii przed literaturą, jest właśnie literat — Goetel. Nic nie „przerabia“, nie „przystosowuje“, tylko *tworzy* dla ekranu. Teraz pisze scenariusz na tle legendy o Janosiku. Nie będzie to ani Tetmajer, ani Orkan, tylko świat Tatr, legendarny i prawdziwy (fantastyczność, folklor, przyroda), przetrawiony przez artystę o wizualnej wyobraźni. Nie literatura, lecz — kino! Byłoby tylko udało się Goetlowi zabezpieczyć jakoś od zarazy gadulsko-dźwiękowej!

Stef. H.

Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Volpone“ — komedia w 5-ach aktach (5 obrazach) Ben Jonsona, w układzie Stefana Zweiga. Przekład R. Centnerszwerowej. Reżyserja R. Ordyńskiego. Dekoracje K. Frycza.

Genjalny współczesnik i wielbiciel Szekspira obrał sobie renesansową Wenecję, jako tło, na którym rozsnuł sieć ludzkiej chciwości i lotrostwa, sieć o misternie splecionych okach, za jednym mistrzowskim pociągnięciem poety zmieniającą się w strzyk. Mimowolne zestawienie tej wspaniałej komedji z jednocześnie granym „Domem serc złamanych“ Shaw'a nasuwa ciekawe refleksje.

Trzysta lat dzieli te dwie sztuki, te dwie emanacje genjuszu anglosaskiego, a jednak jakże łatwo odnaleźć ich wspólne źródło i jednakie ujście. I tu i tam źródłem jest obrzydzenie, jakie budzić musi w pocie dokładna znajomość człowieka; i tu i tam autor brutalnie masakruje menażerję ludzką; i tu i tam wreszcie kończy radosnym okrzykiem wiary w zwycięstwo szlachetnych pierwiastków w duszy człowieka.

Tylko metoda jest nieco odmienna. Ben Jonson, wielki naturalista, operuje efektami prymitywnymi, wyolbrzymia ludzką chciwość i przewrotność do rozmiarów potwornych, bierze gigantycznością postaci, zgruba ucharakteryzowanych na zwierzęta. Jego symbolika imion (lis, lew, kruk, jastrząb, gołąbka, mucha) jest całkowicie powierzchowna, a intryga ma wszystkie cechy karnawałowej comoedii dell'arte. Nieśmiertelna młodość teatru bije z tego brawurowego wyścigu kłamstwa z chciwością.

Inaczej u Shaw'a. Na jego umysłowości ciąży trzysta lat nowoczesnej kultury. Typowy intelektualista patrzy na świat z wyżyn sceptycyzmu. Umie być brutalnym, ale woli być wyrafinowanym. To mu ułatwia zadanie śmiertelnego ciosu w najodpowiedniejszej chwili. Tam, gdzie Jonson poprosto wali obuchem w łeb, Shaw puszcza krew drobnymi ukłuciami szpilek. Obaj zmierzają do jednego celu: jeden szaloną pasją, drugi powolną torturą. Jeden jest mistrzem sytuacji, drugi — słowa. Jeden buduje akcję z faktów, drugi — z ludzi. I w jednym i w drugim wypadku są to domki z kart, które wznosi paradoks, a obala jedno technienie buntu. Magiczny teatr wielkich rewolucjonistów!

„Volpone“, który w triumfalnym pochodzie obiegł sceny Europy, otrzymał u nas świetną oprawę sceniczną. Kontrastowa gra Samborskiego i Maszyńskiego uplastyczniła zarówno wewnętrzną treść, jak symboliczną powierzchowność Lisa i Muchy. Dominiak stworzył klasyczną postać i maskę starego lichwiarza. Pancewiczowa była czarującą kurtyzaną wenecką. Romanówna, bardziej szepleniąca, niż zwykle, przypominała raczej perliczkę, niż Gołąbkę. Reszta aktorów z powodzeniem robiła to, co do niej należało: groteskę.



Leokadja Pancewicz-Leszczyńska w roli Caniny.

Wspaniałe dekoracje Frycza kazały wierzyć w istnienie takiej właśnie rozkosznej, rozpasanej i przewrotnej Wenecji.

Przekład Centnerszwerowej staranny. Wierszowane teksty w układzie Wierzyńskiego wnosiły świeży powiew poezji w duszną atmosferę gorączki złota.

S. P. O.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

WYDAWNICTWA F. HOESICKA.

- Jan Starzewski: „Józef Piłsudski“ — zarys psychologiczny.
 „Niepodległość“ — czasopismo poświęcone dziejom polskich walk wyzwoleniczych w dobie popowstaniowej. Pod redakcją Leona Wasilewskiego (Wydawnictwo Instytutu badania najnowszej historii polskiej).
 Mieczysław Sterling: „Ignacy Marek“.
 G. Wit: „Mistrz Twardowski“ (dramat).
 Eustachy Czekalski: „Szeroki Dunaj“ — powieść.
 Stanisław Strumph-Wojtkiewicz: „Graż“ — powieść współczesna.
 Jerzy Mieczysław Rytard: „Biał jesienny“.
 Marja z Przeździeckich Walewska: „Polacy w Paryżu, Florencji i Dreźnie“ — sylwetki i wspomnienia.
 Karol Koźmiński: „Rotmistrz Andrzej“ — powieść.
 Konstancja Bielska: „Starszy pan“ — powieść.
 Józef Wasowski (Widz): „Herezje“.
 Jerzy Liebert: „Gusła“ (poezje).
 Manuel Devaldes: „Sprzeciw sumienia“ — przeł. z oryginału Amelja Kurlandzka.

Kobieta w świecie i w domu

WAŻNA UCHWAŁA BANKOWCÓW POLSKICH.

Na odbytym w ubiegłym tygodniu w Warszawie zjeździe Zrzeszeń Pracowników Banku Polskiego zapadła jednogłośnie uchwała ustalenia zasady: absolutnej równości pracowników obu płci, a więc równej płacy za równą pracę i kwalifikacje, oraz równego, przy jednolitości uzdolnień, awansowania na wyższe stanowiska. Zrzeszenie pracowników Banku Polskiego jest jednym z najpoważniejszych w Polsce, liczy ono 1600 członków, zgrupowanych w 54 oddziałach, na całym obszarze Rzeczypospolitej, posiada miljonowy budżet roczny, istnieje lat dziesięć. Z okazji tego właśnie dziesięciolecia odbył się ostatni zjazd, którego uchwała, dotycząca pracy kobiecej, zaważy napewno korzystnie na karierze urzędniczej członkiń tego zrzeszenia.

JUBILEUSZ KOŁA POLEK.

Z okazji 10-lecia założenia oddziału Koła Polek w Białej Podlaskiej, odbyło się uroczyste poświęcenie sztandaru tegoż Koła, które ma za sobą piękne tradycje prac społecznych i opieki nad żołnierzem w pierwszych latach tworzenia się naszego państwa, oraz podczas wojny polsko-bolszewickiej. Za zasługi, położone na tem polu, przewodnicząca Koła (korespondentka „Bluszczu”), p. Marja Kałuszyńska, udekorowana została odznaką honorową 54 p. p. oraz medalem „Polska swemu obrońcy”.



Zarząd Koła z przewodniczącą p. Marją Kałuszyńską (X) na czele.

Z DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKU PRACY OBYWATELSKIEJ Kobiet w MAŁOPOLSCE.

Jedną z placówek pracy kobiecej, której potrzebę potwierdziło samo życie, jest Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. Mimo, że Małopolska posiada na swych ziemiach wiele organizacji kobiecych, mających stare tradycje i wyrobioną opinię, Zw. Pr. Ob. Kobiet na terenie Woj. Krakowskiego skupił w 16-tu

Ośrodkach 1500 zorganizowanych kobiet, które stanęły do pracy z hasłem: państwo i jego dobro.

Praca Związku jest bardzo różnorodna. 12 oddziałów zajmuje się opieką nad dzieckiem, Biała prowadzi świetlice i dożywianie, Tarnów i Nowy Sącz żłobki dla niemowląt i drobnych dzieci; pozostałe akcję dożywiania, rozdawnictwa odzieży i kolonij letnich.

Najwydatniej pracuje wydział wytwórczości, który główną akcję skoncentrował na zagadnieniu propagandy, jedwabnictwa, realizując założenie szkółki morwowej w Krakowie. Wydział urzęduje również kursy kroju, małych zabawek. Bazar w Zakopanem daje bardzo pomyślne rezultaty.

Wydział Uświadczenia obywatelskiego urzęduje kursy dla analfabetów (Oświęcim), kursy gospodarze (wieś Rybanowice i Szczyrele), bursy dokształcające (Biała).

Odczyty, akademie i biblioteki (w tej pracy celuje Jasio); we wszystkich osiedlach praca wre, docierając nawet na wieś.

WŁADZE ZGODZIŁY SIĘ NA WYJAZD ROBOTNIC DO FRANCJI.

Głosy społecznie, domagające się pozwolenia na emigrację kobiet i dziewcząt na roboty rolne do Francji, zaczynają odnosić skutek. Ponieważ w departamencie „du Nord” utworzone zostały instytucje, zapewniające dziewczętom racjonalną opiekę, władze zgodziły się na wydanie pozwoleń na wyjazd do tego departamentu. Angażowanie robotnic odbywać się ma w Mysłowicach, gdzie podpisywane będą kontrakty, w których od razu wymienia się nazwiska i dokładne adresy francuskich pracodawców. Przy takim zabezpieczeniu, czasowa emigracja kobiet i dziewcząt będzie mniejszym złem, niż stosunki, panujące np. w Łodzi, o których w Nr. 15 „Bluszczu” pisała w „Mównicy” nasza korespondentka.

PIERWSZE POLSKIE KORPORANTKI ZWAŁCZAĆ BĘDĄ ALKOHOLIZM.

Na uniwersytecie warszawskim powstała pierwsza korporacja kobieca, pod nazwą „Priora”. Obok celów społeczno-wychowawczych, nowe korporantki postawiły na pierwszym planie propagandę przeciwalkoholową: „Postanawiamy”, brzmi tekst uchwały, „że na zebraniach towarzyskich i na kwaterach nie będzie używany pod żadnym pozorem i formą alkohol, jako nie licujący z charakterem korporacji żeńskiej i jej zadaniami wychowawczo-ideowymi”.

STALOWE KOBIETY.

Ciekawą karierę zawodową ma poza sobą pani Gene Lindeblad z Chicago. Rozpoczęła ona pracę, jako stenotypistka, zarabiając 5 dolarów tygodniowo. Dziś jest skarbniczką, członkiem zarządu zrzeszenia dyrektorów wielkiego trustu stalowego, którego jest jedną z założycielek.

Mrs Lindeblad zaznajomiła się z zawodem stalowym w jednej z firm kalifornijskich, potem objęła posadę sekretarki dyrektora firmy stalowej w Chicago. W krótkim czasie dyrektor podał się do dymisji, z powodu choroby, tak nagle, że narażenie firma nie mogła znaleźć nowego szefa i powierzyła chwilowo zastępstwo p. Lindeblad. Praca jej na tem stanowisku okazała się tak owocna, że już po sześciu tygodniach zastępczyni została mianowana dyrektorem. Jest to pierwsza i jedyna, nawet w Ameryce, kobieta, prowadząca wielką firmę stalową.

Nieco więcej kobiet liczy Ameryka na wysokich stanowiskach w kolejnictwie. Są to panie Phebe Clark, D. R. Lovvorn i Thomas W. Beckett. Wszystkie trzy są przewodniczącymi wielkich kompanij kolejowych, z tych jedna kompanij rządowej.



Królowa Nefretete.

KRÓLOWA EGIPITU.

Wśród wykopalisk egipskich, wydobytych w XX-tym wieku, za jedną z najpiękniejszych uznana została mumja królowej Nefretete, żony Echtanamena, tak, jak i jej mąż, zmarłej bardzo młodo. Mumja ta, wspaniale zachowana, przedstawia kobietę niezwykle piękną, o mądrym i uduchowionym wyrazie twarzy, ma jednak jakoby przynosić nieszczęście. Została ona zabrana przez rząd niemiecki i dotychczas znajdowała się w muzeum w Berlinie. Przesąd, przywiązany do tej mumji, dochodzi do tego, że przywiezieniu jej do Niemiec przypisywano przegraną wojnę i upadek Cesarstwa! Obecnie mumja pięknej Nefretete ma powrócić do Egiptu, na zasadzie zamiany innych wykopalisk, ofiarowanych przez rząd egipski.

NIC JEJ WIEK NIE PRZESZKADZA.

Zamilowanie sportu, zwłaszcza zaś zapał do lotnictwa, przekracza zakresłone dawniej granice wieku. Jedną z najlepszych lotniczek angielskich, księżna Bedford, liczy obecnie 61 lat. Nie przeszkadza jej to w świetnych wyczynach lotniczych. W r. z. pobiła rekord szybkości lotu do Indyj, przebywając drogę z lotniska londyńskiego Croydon do Karachi, tam i z powrotem w ciągu 7 dni. Księżna Bedford pilotuje sama, na zmianę z swym stałym współtowarzyszem podróży, kapitanem Barnardem.

Obecnie oboje wyruszyli na nową wyprawę do Kapsztadu. Pomimo fatalnego stanu atmosfery, udało się dzielnej pilotce przelecieć w ostatnim etapie podróży 1250 mil (angielskich) bez lądowania, zdobywając nowy rekord, przelotu z Croydon do Kapsztadu w trzy dni. Nad równikiem lotnicy napotkali takie zwały ciężkich chmur, że zmuszeni byli lecieć tak nisko, iż stada słoni, żyrafy i lwy uciekały, przerażone hukiem motoru.

OD CZEGO SIĘ JUŻ NIE UBEZPIECZAMY!

W Ameryce istnieją już od kilku lat zakłady ubezpieczenia przeciwko... staropanieństwu. Podobno takie stowarzyszenie powstać ma i we Francji. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że kobieta samotna musi zapewnić sobie starość, to wszelkie ubezpieczenia są b. pożądane, ale dlaczego tylko na wypadek staropanieństwa? A starokawalerstwo, a nieszczęśliwe małżeństwo? Warto by o tem pomyśleć.

KONGRES MIĘDZYNARODOWEJ RADY KOBIEC

W dniu 26 maja otwarty zostanie w Wiedniu Kongres Międzynarodowej Rady Kobiet. Zjazd otworzy prezydent Republiki austriackiej, nadto powitają członkinie Kongresu przedstawiciele rządu i municypalności wiedeńskiej.

Pierwsze trzy dni poświęcone będą obradom Komisji, posiedzenia plenarne rozpoczną się 30 maja i trwać będą do 6-go czerwca.

Program obrad jest bardzo obszerny: pakt Kelloga, kwestja rozbrojeń, arbitraż międzynarodowy, organizacja propagandy powszechnego pokoju, to sprawy polityczne. Obok nich wejdą na porządek dzienny kwestje, dotyczące reform moralności publicznej, higieny, opieki nad dzieckiem i ochrony pracy.

Członkiniami Kongresu z prawem głosu są delegatki Krajowych Rad Narodowych, inne uczestniczki rad mogą brać udział bez prawa głosu, jako goście. Po Kongresie odbędą się wycieczki do Budapesztu, Pragi i Bukaresztu.



Pierwsza docentka uniwersytetu w Niemczech dr. E. v. Rauke.

BLASKI I NĘDZE NASZEJ SAMOWYSTARCZALNOŚCI WŁÓKIENNICZEJ

No, nareszcie! o sprawie szmatek i fatalaszków niewieścich mówią mężczyźni. I to nie byle jak, i to nie byle jacy! Sam pan doradca finansowy z za morza stwierdza, że od dobrej woli kobiet polskich zależy byt setek tysięcy rodzin robotniczych, a w znacznej mierze rozwój naszego przemysłu. No i od tych szmatek. Okazuje się, że oszczędność w ubraniu — cecha tak cenna u dobrej matki i żony — nie należy bynajmniej do głównych cnót dobrej patrijotki. Przeciwnie: każda z nas, pragnąc dobra Ojczyzny, winna wydawać jaknajwięcej, ale... w kraju.

Sprawa polskiej samowystarczalności włókienniczej bliska jest memu sercu, jak dziecko... nie zupełnie może rodzone, lecz bądź co bądź, adoptowane w najwcześniejszym okresie niemowlęctwa. Miłość ta nie jest bez cierni. Nie tak to łatwo pepierać wytwórczość krajową, jakby się komu wydawać mogło ze strony. Przed Bożem Narodzeniem, np., prowadziłam z ramienia L. S. G. pokaz modeli karnawałowych, wykonanych z krajowego jedwabiu. Aby pokaz wypadł wiarogodnie i naprawdę propagandowo (bo ostatecznie o każdej sukni można powiedzieć, że jest wykonana z materiału krajowego), zwróciłam się do jednej z wielkich fabryk łódzkich z prośbą o pożyczenie mi na parę godzin kilku sztuk jedwabiu, zaopatrzonych w stempel fabryczny. Odmówiono mi sucho i kategorycznie, pod pretekstem, że jedwabie mogłyby się po-
nieść.

Myślałam, że moja skromna osoba nie wzbudziła dostatecznego zaufania i zmartwiłam się osobiście prywatnie. Ale teraz znów ostatnio, grono pań, pracujących w L. S. G., zwróciło się oficjalnie do koncernu fabryk łódzkich z prośbą o przysłanie próbek wyrobów bawełnianych, do zużytkowania ich w celach propagandowych (p. Dewey z córkami i z żoną, Miss Polonia etc... etc...). Oficjalny list ten pozostał bez odpowiedzi. W tem miejscu zaczęłam cierpieć za miłjony.

Wiedząc, że smutnego doświadczenia, że zwrócenie się do praźródeł pozostanie bez echa, a pragnąc jednak wiedzieć, jak się rozwija nasz młody przemysł włókienniczy, wybrałam się na wędrowkę inspekcyjną po sklepach.

— Co też pani szanowna napisała najlepszego!? — powiedział do mnie właściciel jednej z najsolidniejszych firm warszawskich. — Przecież organdy nie wyrabiają u nas wcale! A markizetę sprzedaje się głównie szwajcarską. A pani szanowna pisze tylko o markizecie i o markizecie...

— Uhm!... — Zrobiło mi się cokolwiek niewyraźnie. Zaczny kupiec pokazał mi na pociechę ogromną ilość woali (cienkiej wełny, niewątpliwie łódzkiej), o deseniach tak prześlicznych, że miałam apetyt na wszystkie. I jeszcze więcej takiej tkaniny, bardzo taniej i dosyć błyszczącej, którą jedni nazywają silkiem, drudzy sztucznym jedwabiem, a jeszcze inni — merseryzowaną bawełną. Nie próbując nawet wchodzić w to: kto ma rację w tym względzie, stwierdziłam z radością, że wyrób ten, od trzech już lat będący na naszym rynku, staje się coraz ładniejszy i coraz tańszy. Objaw wielce pocieszający.

Dano mi też do obejrzenia prześlicznie ścienioną tablicę próbek surowego jedwabiu bieliźnianobluźkowego, zwanego „petite reine“ i wyrabianego w Łodzi. Jedwab ten, pierwszorzędnej jakości, jest bardzo przystępny w cenie i nadaje się świetnie na letnie sukienki. Gawędząc o jedwabiach, zбочyliśmy na temat krajowych crêpes-satins, które, jak ogólnie wiadomo, są bardzo piękne, ale i bardzo drogie. Wytlumaczono mi, że powodem wygórowanej ceny jest właśnie ich wysoki gatunek. Trochę mi to przypomniało egzamin doktorski, moljerowskiego „Chorego z urojenia („Illustrissime doctor mnie zapytane: czemu opjum sen daware? A ja na to respondere: — gdyż taką jest jego właściwość“). Nie zdołano mi przecie wytłumaczyć, czemu zagraniczne crêpes-satins w równie wysokich gatunkach, obciążone wysokim cłem — kosztują nie wiele drożej od krajowych, albo zgoła taniej.

Zdziwiła mnie również wiadomość, że krajowe crêpes-satins można mieć jedynie w kolorach: czarnym, białym i granatowym.

— Dlaczego? Przecież sama oglądałam w pawilonie włókienniczym na P. W. K. te jedwabie we wszystkich możliwych kolorach.

— A, bo widzi pani szanowna, wiele rzeczy robi się tak... na wystawę... na pokaz. A naprawdę, to co innego...

Coprawda, to crêpes-satins czarne, białe i granatowe mają najszersze zastosowanie w garderobie kobiety współczesnej. Zmartwiła mnie jednak myśl, że jeżeli tak, to cała wspaniałość pawilonu włókienniczego mogła być takim wystawowym bluffem!

W następnej jednak firmie znalazłam nietylko ogromny wybór krajowych żorzet i meteorów w niezliczonej ilości odcieni, ale także i crêpes-satins we wszystkich modnych kolorach.

— Czy to aby napewno krajowe?

— Ależ napewno! Gładkie jedwabie mamy w kraju we wszystkich kolorach, tylko deseniowych jedwabi w wyższych gatunkach nie mamy i nieprędko będziemy je mieli.

— Dlaczego?

— Bo obstalowanie deseni i stempli oplaca się dopiero przy sprzedaży pięciu tysięcy metrów. A na taki zbyt jednego deseni kosztownej tkaniny nie możemy liczyć.

Wyszłam, dumna z pomnożenia fachowych wiadomości, i w następnym sklepie znajduję... moc krajowych meteorów, drukowanych w najrozmaitsze desenie.

— Jakże to?... Ale, kiedy przecie nie oplaca się drukować w kraju na wyższych gatunkach... — bąkam, zupełnie już zdeзорjentowana.

— A pani myślała, że te tanie rzeczy, to się drukują u nas? — brzmiała ironiczna odpowiedź. — Wszystkie gładkie tkaniny, drogie czy tanie, idą od nas do Szwajcarii i wracają wzorzyste zpowrotem.

Zglupiałam z kretesem. Nawet widok prześlicznej markizety, krajowej pod gwarancją przysięgi, nie wrócił mi humoru. Komu wierzyć!? Jak znaleźć nie przewodnią w tym przedziwnie zagmatwanym labiryncie? Przecież każdy, absolutnie każdy towar może być sprzedany w tych warunkach, jako zagraniczny, albo jako krajowy, zależnie od żądania nabywcy, lub humoru sprzedawcy! Najlepsza wola musi zafałować bezsilne dłonie.

Słyszałam, że Liga Samowystarczalności Gospodarczej ma ogłosić listę firm, którym można będzie

w tym względzie zaufać. Ale czy uda się Lidze upewnić o prawomyślności firm we wszystkich miastach i miasteczkach Polski? A przecie propaganda samowystarczalności dopiero wtedy osiągnie swój cel, gdy znajdzie echo w całym kraju. Wszędzie bez wyjątku

Widzę jednak sposób zaradzenia złemu, i to bardzo prosty. Ale nie!... to byłoby zbyt piękne! Nie chcą fabrykanci gadać z poszczególnymi jednostkami, ani stowarzyszeniami, ale przecież ze *wszystkimi* musieliby się liczyć. Gdyby mogła powstać petycja, na której figurowałyby zgodne podpisy N. O. K. i Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet, Krzyża Czerwonego i Białego, Kobiet Katolickich, Koła Polek etc... etc... wszystkich, wszystkich, ile ich tylko jest w stolicy i na prowincji. Gdyby najbardziej zważnione społeczeństwo i politycznie, obozy zgodziły się wreszcie podać sobie ręce na gruncie dobrze zrozumianego interesu gospodarczego... może udałoby się wreszcie uzyskać pierwszy warunek możliwości popierania wytwórczości krajowej — wyraźny stempel, świadczący o krajowym pochodzeniu tkaniny?!

Ale nasze panie wolą się spierać o to, komu przypadnie w udziale zaszczyt urzędzenia pierwszego „perkalikowego” balu w zielonym karnawale.

Temat ten, jako wielce aktualny, poddaję szczegółowej rozprawie naszych miłych korespondentek z „Naszej Mównicy”.

Well.

ZWYCZAJE TOWARZYSKIE

I. WIZYTA — UKŁON.

Wejście do salonu — to sztuka nielada! Sposób posuwania się, trzymania, bez niezręczności i bez przesady, mają swoje znaczenie.

Mężczyzna, należący do dobrego towarzystwa, wchodzi do salonu bez hałasu, naturalnie, bez pośpiechu, ale nie ociągając się. Kieruje się wprost do pani domu, pochyla się i całuje (jeżeli ma ten zwyczaj) rękę, którą ona mu podaje. Następnie składa ukłony paniom i panom znajomym, bierze krzesło i siada.

Pani domu wstaje i kieruje się ku wchodzącej damie, zaprasza ją do zajęcia miejsca, zanim sama usiądzie; powstaje ze swojego miejsca, gdy ktokolwiek wchodzi. Powstaje także, gdy która z pań wychodzi, i odprowadza ją do drzwi salonu. Wstaje również, jeśli kto z mężczyzn ją żegna, a jeżeli jest to człowiek starszy, albo na wybitnym stanowisku, odprowadza go parę kroków. Podczas wizyty, ale nie w czasie większego przyjęcia, wszyscy obecni mężczyźni winni powstać, gdy do salonu wchodzi kobieta.

Ponieważ mówimy o ukłonach, powiedzmy od razu, że ten ruch wytworny jest zawsze jeszcze w użyciu w dobrem towarzystwie. Za czasów Cesarstwa, w Paryżu ukłon był najwyższą umiejętnością dla młodej osoby — panny czy mężatki — mającej być przedstawioną u Dworu. Aby osiągnąć wytworną doskonałość w ukłonie, trzeba było długiej nauki i ćwiczenia. Od ukłonu, bowiem, zależało złe lub dobre przyjęcie. Szmer pochwał stawał się nagrodą dla nowicjuszek.

Taki ukłon byłby dzisiaj nie na miejscu, ale ukłon istnieje. Nie powinien on być ani podrygiem, ani zbyt głębokim przysiadaniem. Ukłon należy się przede wszystkim od młodej panny damie, starszej wiekiem, albo stanowiskiem.

Ukłon zresztą jest rozpowszechniony w najroz-

maitszych środowiskach i różnych okolicznościach. Dlatego przydałoby się, aby nasze panienki, gdy są jeszcze bardzo młode, brały lekcje dobrego zachowania się i obycia towarzyskiego. Większość ich nie ma pojęcia o najelementarniejszych zasadach ukłonu. Nawet artystki na scenie nie znają jego wdzięku, ani właściwego sposobu, a ukłon źle pojęty i naiwnie wykonany, może łatwo stać się śmiesznym.

Mężczyzna składa w salonie ukłon kobiecie, pochylając zlekka głowę wraz z ramionami, cokolwiek więcej, jeżeli ma ucałować podaną sobie rękę. Lepiej tego nie robić, jeżeliby ruch miał być niezgrabnie wykonany. Subtelność dobrego wychowania nie znosi miernoty. Wiele jest sposobów całowania ręki kobiecie — to rzecz taktu i wykwintu.

Jest się zwolnionym od całowania ręki w rękawiczce (choć i to się czasem robi). Nigdy nie całuje się w rękę młodej panny. Nie całuje się ręki na ulicy, rzadko kiedy w miejscach publicznych, nawet w zakrystji, w czasie uroczystości ślubu, chrztu, czy pogrzebu. Ci, co to robią, popełniają błąd i dają dowód niemądrej przesady, albo zupełnej nieznamomości subtelnych odcieni kurtuazji.

Dobrze jest całować rękę kobiety w salonie, ale zrobić wybór — to niemała umiejętność; ruch ten, zbyt często powtarzany, zatracca swoje właściwe znaczenie. Należy się on pani domu i kobietom, które się chce specjalnie uczcić. Dawniej całowano rękę tylko najstarszej z rodu matrony. Dzisiaj młode kobiety chętnie przyjmują hold taki.

Mary.

ZNACZENIE WIKLINY KOSZYKARSKIEJ

W okresie „wyścigu pracy” winien być wypróbowany każdy środek, który może prowadzić do podniesienia dochodowości gospodarstw rolnych.

Faktem jest, że w Polsce w przybliżeniu około 2 milionów hektarów różnych nieużytków nie jest dotąd produktywnie wykorzystanych.

Na te nieużytki składają się: pasma nadrzeczne, typu kamieńców piaszczystych i odsypisk, dalej grunta, wystawione na częste wylewy rzek, potem grunta podmokłe, trzęsawiska, niełatwe do meljoracji.

Wiadomo, że w niektórych województwach panuje głód ziemi i nadmiar rąk do pracy; dalej stwierdzono małą dochodowość wielu gospodarstw mniejszych, posiadających w obszarze swym właśnie nieużytki w rodzaju wyżej podanych.

Biorąc pod uwagę, że w kraju naszym $\frac{3}{4}$ mieszkańców żyje na roli, względnie z roli, a część jej wprost bieduje, należy dążyć do tego, by u nas każda pięćdziesiąta ziemia była należycie wykorzystana.

Jednym ze środków, prowadzących do tego celu, jest uprawa wikliny koszykarskiej na większą skalę i w sposób więcej racjonalny, niż dotąd. Użycie wikliny w przemyśle i handlu jest wprost ogromne. Wiklina nadaje się bowiem do wyplatania półkoszów do wozów i sani, do wyrobu koszy dla potrzeb gospodarstw rolnych, rybnych i fabrycznych; dalej, do wyrobu mebli zwykłych i luksusowych, obręczy na beczki, wreszcie do wyrobów galanteryjnych.

Drewno wikliny nadaje się do przeróbki przemysłowej, jak papier, grzebienie, sztuczny jedwab,

proch strzelniczy i t. d. Z kory wyrabia się maty i chodniki.

Garbnik kory wiklinowej, w specyficznym swym składzie, nie da się niczem zastąpić w przemyśle garbarskim i jest bardzo ceniony w wyprawie futer, juch-tów i sajanów.

To też popyt na odpowiednią wiklinę wzrasta wciąż i eksport tego towaru jest wprost nieograniczony.

Uprawa wikliny na większą skalę daje możność zatrudnienia nadmiaru, niezawsze należycie wyzyskanych rąk ludzkich, przez okres prawie całego roku.

Późną jesienią, a więc po ukończeniu już prac w polu, odbywa się wycinanie łozy, w zimie korowanie, z wiosną bielenie, do tego przez cały ten czas można przy pracy koszykarskiej zatrudnić moc rąk robotnych.

Słowem, od kołyski (z wikliny) aż do wierzby, płaczącej nad grobem, jest nam to drzewo wiernym towarzyszem, więcej, niż każda inna uprawna roślina.

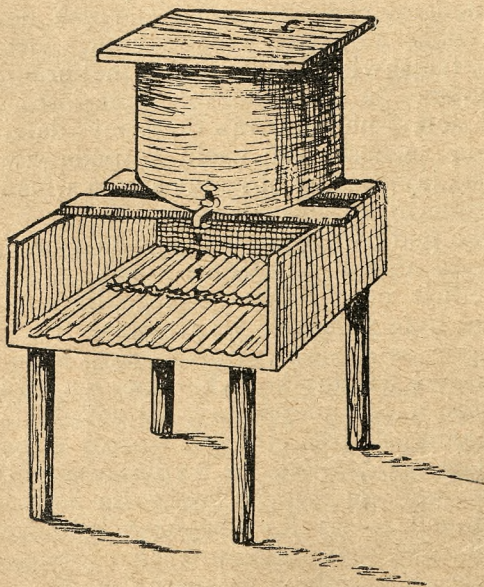
To też zadaniem Wydziałów powiat. oraz Towarzystw i Kółek Rolniczych winno być uświadamianie zainteresowanych w tej dziedzinie sfer i ułatwianie środkami finansowymi i przez pomoc fachową, zarówno samej uprawy, jak i powstawania związanego z tem przemysłu, względnie rozbudowy już istniejącego.

J. Neyman.

POIDŁO DLA PSZCZÓŁ

Przełóżając tygodnik niemiecki „Land u. Frau“, spotkałam się z bardzo praktycznym i łatwym do skonstruowania poidłem dla pszczół.

W skwarne, suche lato często daje się zauważyć, że pszczoły, w pogoni za wodą, zbyt oddalają się od uli, przez co tracą moc cennego czasu zupełnie bezużytecznie; często znów krążą gromadnie koło koryt do pojenia inwentarza, kłując zbliżające się bydło i ludzi. Wiadomem też jest każdemu pszczelarzowi, że pszczoły specjalnie lubią wodę stojącą, przez słońce nagrzaną.



Poidło dla pszczół.

Jeden z pszczelarzy zastosował w swojej pasiece następujące poidło: na czterech nogach umieścił drewnianą skrzynkę, z jednej strony otwartą, z dnem, ponabijanem wzdłuż drewnianymi listewkami z jedną poprzeczną. Przy tylnej, zamkniętej ścianie przybił z wierzchu dwie drewniane listwy, na których umieścił stary zbiornik z chłodnika od mleka. Zbiornik ten zaopatrzone jest w kran, przepuszczający wodę po kropki, przykryty, w braku odpowiedniej pokrywy, zwykłą deską. W zbiorniku tym mieści się kilkanaście litrów wody, która starcza na parę dni, a więc zaoszczędza czasu, zużywanego przy zwykłych poidłach. Woda w zbiorniku nagrzewa się przez słońce, jest „bieżąca“, to jest zdrowsza od stojącej, a przez utrzymywanie w ciągłej wilgoci drewnianych listew wytwarza na nich zielony osad, który dla kwaskowatego smaku pszczoły tak bardzo lubią.

Żeby przyzwyczaić pszczoły do korzystania z powyższego poidła, można przez pierwsze parę dni do wody dodawać cokolwiek miodu. Poidło takie powinno stać stale w pasiece, poczynszy od wczesnej wiosny, do późnej jesieni.

A. D.

KASZE

Ciągle się mówi o wprowadzaniu przeróżnych zmian w odżywianiu, o usunięciu zeń zbyt dużych ilości mięsa i tłuszczów, o urozmaiceniu jadłospisów przez wprowadzenie większej ilości jarzyn i owoców i przy wszystkim tem zapomina się zupełnie o tak ważnym, tak zdrowym i tak tanim artykule spożywczym, jakim są kasze.

Do nie tak dawna odgrywały one dużą rolę w odżywianiu. W starych książkach gospodarskich mamy wiele przepisów nietylko przyrządzania potraw z kasz, lecz wyrobu samych kasz, przy czem ilości, tam podawane, świadczą o częstem i obfitem ich użyciu. Sama z lat dzieciennych pamiętam dyspozycję ojca zjęcia poważnej ilości kop niedojrzałego żyta na „zieloną kaszę“, u nas zupełnie zapomnianą, natomiast stanowiącą jeden z najsmaczniejszych produktów światowej fabryki kasz i przetworów mącznych Knorra.

W „Gospodynie Litewskiej“ Ciuńdziewickiej mamy różne sposoby robienia, gatunkowania, przechowywania jęczmiennych, gryczanych, jaglanych, kartoflanych, różanych kasz i kaszek, przeznaczonych na samodzielne dania, dodatki do mięs, a nawet smakowite leguminki. Jeszcze dotąd w niektórych domach na Kresach wschodnich robią wiosną, w czasie najczęstszego cielenia się krów, wyborną kaszę z mąki kartoflanej na młodziwu, zastępującą z powodzeniem — gdyż jest znacznie smaczniejsza — kupny ryż i sago.

I właśnie w dobie obecnej, kiedy z jednej strony lekarze nawołują do powrotu do metod najprostszego odżywiania, z drugiej widzimy nasz fatalny bilans handlowy, katastrofalny wprost stan ekonomiczny kraju — winnyśmy sobie przypomnieć o kaszach — zdrowych, tanich, smacznych, krajowych kaszach.

A zapomnieliśmy o nich dosyć radykalnie.

Jeżeli weźmiemy przeciętny jadłospis przeciętnej inteligentnej rodziny, w którym figuruje jedna jarzyna, są to dziewięć razy na dziesięć — kartofle. Przy dwóch jarzynach będzie zimą marchewka lub buraczki, latem groszek lub kalafjory, wiosną czasem szpa-

ragi, jesienią pomidory — drugą jarzyną będą kartofle, rzadka makaron, albo kluski mączne, czy — kartoflane. Kaszkę manę gotuje się dla dzieci, krakowską na rosole dla osób chorych; specjalni amatorowie dysponują czasem kaszę gryczaną do zrazów.

W wykwitniejszych restauracjach kasz wcale nie spotykamy; w podrzędniejszych garkuchniach, pomiędzy obficie dodawanemi do mięsa kapustą i tłuczonemi kartoflami, często figuruje duża łyżka pęczaku. Ten pęczak, sam przez się smaczny i pożywny, tak obrzydł wszystkim w czasie okupacji niemieckiej, kiedy stanowił niezmienną i bardzo dużą część tak zwanego „deputatu“, kiedy nim karmiono codziennie w internatach i w wojsku, że chyba tylko najmłodsze pokolenie, co to wtedy nie poznało tej kaszy, może ją wrócić do łaski, do kuchni i do stołu.

Mamy taką olbrzymią wprost rozmaitość kasz krajowych, że przy dobrych chęciach i pomysłowości gospodyni, nieomal codziennie możemy dawać te kasze, jako drugą jarzynę w obiadach, jako podstawową potrawę w kolacjach i śniadaniach, kombinując z różnych kasz, w połączeniu z owocami i nabiałem, wyborne leguminy.

Że wspomnę już tylko o wszelkich rodzajach kaszy tatarczanej—hreczanej. Od grubych, całych ziarn kaszy zwykłej i obwarzanej, którą się u nas używa do zrazów, a na Wołyniu i wogólności na Kresach południowo-wschodnich do zsiadłego mleka, może ona służyć za wyborną przystawkę do barszczu, kapuśniaku i innych zup kwaśnych. Można nią nadziewać naleśniki i omlety, podawać w połączeniu z grzybami, jajami, baraniną pieczoną, a nawet zwierzyną w śmietanowym sosie. Kasza hreczana łamana, ugotowana na gęsto i dobrze rozklejona, wyborne smakuje polana słoninką ze skwarkami, lub ze słodkim mlekiem.

Wszelkie odmiany kaszki krakowskiej, do najdrobniejszego maczku, przetarte jajkiem, mogą służyć za dodatek do nieomal wszystkich mięs białych pieczonych, smażonych i gotowanych, do potrawek z raków i ryb, na przeróżne budynie i leguminy.

Kasze jęczmienne i orkiszowe, do których, niestety, należy i znieawidzony pęczak, ale wzamian i wyborna kasza perłowa, są chyba najzdrowszem jedzeniem dla dzieci i osób starszych, dla ludzi o osłabionem trawieniu. Niestety, książki kucharskie po macoszemu traktują ten wyborny produkt, zupełnie prawie nie podając potraw zeń przyrządzanych. Przeważnie się jada kaszę jęczmienną lub perłową, jako dodatek do drobek gęsich — potrawy sezonowej, rzadko używanej, lub zasypuje nią krupnik, czy zupę grzybową. Grupa kasz jęczmiennych czeka jeszcze na swego piewce.

Kasza jagłana, ludom północno-afrykańskim (jako „kous-kous“), zastępująca ryż azjatów, a kartofle Europejczyków, przed użyciem parokrotnie sparzona, może być użyta na różne budynie, leguminki i zapiekanki i w dużej mierze zastąpić przywożony z zagranicy ryż, poważnie odciażając nasz bilans handlowy.

Niedoceniamy też owsianki, a jeżeli ją jadamy, to nie zwracamy uwagi na to, iż należy używać tylko płatków owsianych krajowych, równie smacznych, a świeższych od amerykańskich.

Do legumin z kasz, szczególnie w połączeniu z owocami, będą musiała wrócić wkrótce, aby je omówić nieco obszerniej.

Pani Elżbieta.



GRZANKI Z KASZY

Zagotować sześć szklanek wody, zasypać szklanką lub nieco więcej średniej kaszki krakowskiej, osolić i gotować wolno, aż zgęstnieje. Wyłożyć na półmisek, dobrze uciskając łyżką. Warstwa kaszy powinna mieć około półtora centymetra grubości. Masła ani żadnego innego tłuszczu do kaszy, gotując ją, kłaść nie należy. Gdy dobrze wystygnie, pokrajać na zgrabne czworokątne kawałki i smażyć na rozpalonej fryturze lub smalcu, ładnie rumieniąc z obu stron. Grzanki takie można podawać zamiast pasztecików do kapuśniaku, barszczu lub innych kwaśnych zup. Mogą też one służyć do obkładania różnych jarzyn: szpinaku, groszku, marchewki, kalarepki. Nakoniec można je podać, jako oddzielne danie na śniadanie lub kolację, podając do nich sos grzybowy, pieczarkowy lub pomidorowy.

KASZA ZAPIEKANA Z GRZEBAMI

Kaszkę krakowską (około dwóch szklanek) przetrzeć jednym dużym, lub dwoma małymi jajami, ususzyć w letnim piecyku, przesiał przez rzadkie sito. Dwa lub trzy deka młodych, suszonych grzybków ugotować z włoszczyzną, cebulą, pieprzem, listkiem, jak na czysty rosół grzybowy. Rosołu takiego ugotować półtora do dwóch litrów. Rosół precedzić, jarzyny odrzucić, grzybki pokrajać w cienkie paski. Połowę rosołu zagotować ponownie, włożyć weń dziesięć do piętnastu deka masła, wsypać do wrzącego kaszkę, wymieszać, zagotować na mocnym ogniu, odstawić na brzeg blachy i gotować wolno około kwadrans. Dodać pokrajane grzybki, jeszcze łyżkę surowego masła, soli do smaku, odrobinę pieprzu, przełożyć do kamiennej foremki i wstawić jeszcze do pieca, aby się ładnie po wierzchu zrumieniła. Łyżkę mąki zasmażyć z łyżką masła, rozprowadzić ostudzonym rosołem grzybowym, zagotować, zaprawić pół szklanką kwaśnej śmietany, zagotować raz jeszcze. Po wyjęciu z pieca polać częścią tego sosu kaszę, resztę podać w sosjerce.

KASZA GRYCZANA, GOTOWANA NA PARZE

Pół kilo grubej, tak zwanej „obwarzanej“ kaszy gryczanej zalać zimną wodą w takiej ilości, aby tylko kaszę pokryła; włożyć dużą łyżkę masła (10 do 15 deka), lub dwadzieścia deka drobno pokrajanej, młodej słoninki, łyżeczkę soli; wymieszać wszystko to razem, przykryć pokrywą. Kaszy nie powinno być więcej, niż pół rondla. Rondel z kaszą wstawić w drugi z gotującą się wodą. Woda nie powinna dochodzić wyżej, niż do pół rondla, aby przy gotowaniu nie dostała się do kaszy. Gotować trzy godziny na niezbyt silnym ogniu. Tak ugotowana kasza jest nadzwyczaj sypka. Może być podawana do zsiadłego mleka, do barszczu, do kapuśniaku, jako jarzyna do zrazów. Może też służyć za podstawę do różnych smacznych przystawek. Można, na przykład, nadziać nią naleśniki. Można ułożyć warstwę takiej kaszy na dno ogniotrwałego rondla, przykryć drugą warstwą duszonych w śmietanie grzybów prawdziwych lub smardzów, dobrze zagrzać razem w piecu i podawać do gorącej przekąski. Lub też rozbić kilka jaj, osolić, dodać mleka lub śmietanki, jak na jajecznicę. W nelsonce lub ogniotrwałej foremce, wysmarowanej masłem, ułożyć rząd kaszy, na to wylać jaja i wstawić w miernie gorący piec, żeby się jajecznica ścięła. Mięszać kaszy z grzybami ani jajecznicą nie należy; dopiero, biorąc na talerz, miśzamy je razem.

KASZA PERŁOWA Z SOSEM

Szklankę średniej kaszy perłowej zalać pięcioma szklankami wrzącej wody, osolić, wymieszać, dodać sporą łyżkę masła (6 deka) i gotować na wolnym ogniu, lub też wstawić rondel z kaszą do drugiego, większego rondla z wrzącą wodą. Mieszać często, a nawet mocno wybijać łyżką, gdyż kasza perłowa, aby była smaczna, powinna się zupełnie rozkleić. Gdy zupełnie miękka, włożyć jeszcze nieduży kawałek śmietankowego masła i mocno wybić drewnianą łyżką, poczem przełożyć na salaterkę lub głęboki półmisek. Do niej podać oddzielnie sos śmietanowy z koperkiem, grzybowy lub pieczarkowy. Taką samą kaszę podajemy do potrawki z kaczki, lub dróbków gęsich, tylko zamiast duszenia jej z masłem, dodajemy od razu do wody pozłotę, czyli tłuszcz z rosolu kaczego lub gęsiego.

KASZA MANNA „SMIETANKOWA“

Dwa litry rzadkiej śmietanki lub dobrego, niezbieranego mleka gotować na wolnym ogniu, w płaskim naczyniu, wciąż zbierając formujące się po wierzchu kożuszki. Gdy pozostanie około połowy tego mleka, wsypać weń filiżankę mannej kaszy, wymieszać, odrobinę osolić i gotować na wolnym ogniu, często od dna mieszając. Gdy kasza miękka, wsypać filiżankę cukru, dodać dziesięć deka najlepszego śmietankowego masła i zerbrane kożuszki. Przełożyć do kamiennej foremki, wysmarowanej masłem. Na pół godziny przed podaniem wstawić w piec, aby się kaszka dobrze po wierzchu zrumieniła. Można do niej podać syrop owocowy lub konfitury, lecz i bez żadnych dodatków jest wyborna. *Pani Elżbieta.*

BUDYŃ Z PIECZAREK.

Cwierć kilo młodziutkich pieczarek obmyć starannie w zimnej wodzie, lecz szybko, by — moknąć — nie traciły smaku, otrząsnąć na sicie z wody i nożykiem powykrawać wszystkie ciemne miejsca.

Na wyparzonej stolnicy pokrajać bardzo cienko: czapeczki w trójkąci, t. j. dośrodkowo wzdłuż promieni, trzonki zaś podłużnie. Pokrajane zaraz włożyć do naczynia kamiennego i przesypać obficie cukrem, potrząsając wciąż naczyniem, tak, by każdy kawałek pieczarki był oblepiony cukrem.

Zostawić w spokoju przez 10 minut; w tym czasie pieczarki pod wpływem cukru puszcza obficie sok. Dodać łyżkę stołową opłókaną rodzynek sultkańskich i skropić sokiem z pół cytryny, dobrze mieszając wyparzoną łyżką drewnianą.

Na kuchennej blasze, na miejscu najgorętszym, nasypać w krąg (na 1 cm. grubo) popiołu, postawić na nim naczynie z pieczarkami i dusić, zrazu pod pokrywą, aż zakipią, poczem bez przykrycia, tak, by przez 10 minut wrzały; podczas tego często mieszać tą samą łyżką, zwłaszcza od spodu, by się nie przypaliły.

Trzy bułki suche namoczyć w mleku, wycisnąć i utrzeć w misce; wlać w to pieczarki, wbić 3 żółtka i doskonale wszystko wymieszać i utrzeć. Białka z jaj użytych ubić na tęgą pianę, wymieszać ją z masą pieczarkową, następnie wszystko włożyć w formę, wysmarowaną masłem i wysypaną doskonale utartymi migdałami; wreszcie gotować na parze, jak każdy budyń.

Kto chce, może podać do tego budyń sos, zrobiony ze szklanki (lub dwóch) dobrego, słodkawego burgunda, jednego (lub dwóch) żółtek, łyżki cukru i pół szklanki mocnego wywaru z odpadków od dojrzalszych pieczarek. *Pan Feliks.*

KORESPONDENCJE

Pani L. Litwińska—Wielka Klonia, Pomorze. Herbatę i oliwę stołową po cenach hurtowych mogą nabywać członkinie Koła Studjów Gospodarstwa Domowego, które robią takie zakupy zbiorowo w hurtowniach. O żadnych innych źródłach takich zakupów nie wiemy.

Pani J. G. — Wolkowysk. — Kilimy robi się na warsztacie: wykonanie ich wymaga specjalnej nauki, której, oprócz zawodowych szkół rękodzielniczych, udziela szkoła przemysłu Łódzkiego (Tamka 1, w Warszawie).

Pani I. N. — Łomża. — O zbyt bardzo trudno wobec wielkiej ilości zwykle lichej, ale taniej roboty. Może Sz. Pani zwróci się do firmy Br. Jabłkowskich (Bracka 25 w Warszawie). Jeżeli robota ładna, a ceny nie wygórowane, pewno zrobią transakcję.

WYTWORNE PANIE!!!
 UŻYWAJĄ DLA DYSKRETNYCH PŁÓKAŃ
DAMOSAN



ESENCJĘ
 KOSMETYCZNO-
 ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

Najlepsze **samopoczucie** zapewniają
opaski miesięczne dla pań „S I G I“
 Nie ścierają skóry. Nie wymagają prania, są gietkie,
 zupełnie nieprzemakalne i dają się łatwo zmieniać.
 Do nabycia we wszystkich odnośnych sklepach.
 Generalne przedstawicielstwo: **HUGO FRISCHLER w BIELSKU, ul. Krasińskiego 13.** 253

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
 rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**
 Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
 Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”. Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Zanim klamka zapadnie.

W artykule pod powyższym tytułem dziwi się autor czy autorka, że my, kobiety nie zabieramy głosu w kwestji przerywania ciąży i karalności tego czynu. Jest to zupełnie zrozumiałe, gdyż zdaniem mojem, jak również i ogółu, żyjącego według zasad naszej świętej wiary katolickiej, żadna polka nie powinna pod taką enuncjacją podpisać swego nazwiska.

Wyrzucmy jedno przykazanie z dekalogu i postępujmy według własnego widzimisię, własnej wygody, a poziom moralny i etyczny obniży się momentalnie.

Albo się jest katoliczką (wreszcie, choćby poganką, bo nawet poganie nie zabijają swych dzieci), albo się jest bezbożnikiem, a wtedy bez Boga łatwo wytłumaczyć przeróżne zdrożności, a nawet uzasadnić sofistycznie konieczność zła.

Dziwnie nisko upadł człowiek dzisiejszy, zastanawiający się zupełnie poważnie nad zniesieniem prawa Bożego „nie zabijaj”. Niema statystyki na wszystkie popełniane zbrodnie, jednak nikomu do głowy nie przyjdzie wymagać niekaralności jakiegoś występku, dlatego jedynie, że nie jest wykryty i ukarany. Pod tym względem powinno być zreformowane prawo, aby znaleźć zadośćuczynienie i dać możność wykonania kary.

Ludzkość powinna iść naprzód, a nie cofać się, a każdy musi przyznać, że tylko wzmacniając prawo, dążąc do etyczniejszych warunków bytu, można mówić o postępie ludzkości. W przeciwnym razie jest to w całym znaczeniu tego słowa dekadencja i spadanie z wyżyn.

Ba! nawet z wyżyn zdrowego rozsądku.

Smutne jest zaiste, że trzeba było naszych oświeconych czasów, aby zastanawiać się nad tem, czy zbrodnia najwstrętniejsza, bo popełniona na własnym dzieckiem, i to wtedy, kiedy ono jest najbardziej bezbronną istotą, ma być karalna, czy nie.

A jakie to horyzonty otwiera takie postawienie kwestji!

Każdy zabójca może się bronić, że pozbył się kogoś dlatego, iż mu był „niewygodny”, jak bronić się chcą matki „niedogodnościami” coraz nowiej ciąży; a że chodzi o różnicę wieku, to chyba taka bagatelka nie będzie odgrywać większej roli.

Że nasz kodeks karny ma wielkie braki i nie mamy paragrafów odpowiednich, na których podstawie z całą surowością byłiby karani ci, co cudzołożą, lub nie dotrzymują obietnicy małżeństwa, obowiązkiem ustawodawców jest te braki wyrównać, a opinja powinna żądać ustanowienia odpowiednich praw.

Życie teraz ubiega pod znakiem kinematografu: płytkość, unikanie wszystkiego, co wymaga głębszego skupienia myśli, ciągła zmiana wrażeń i pogoń za chwilową przyjemnością, oto cechy dzisiejszego życia. Ponieważ z tem wszystkim nie można pogodzić etyki chrześcijańskiej, więc zasady te usuwa się z życia, biorąc z religji tylko stronę zewnętrzną, urzędową, a wygodne nieposzanowanie zasad pozoruje się koniecznością lub tolerancją.

Wolna, odrodzona Polska, jako idea, przedstawiała nam się w postaci jasnej, przecudnej wizji; jako rzeczywistość, Polska odrodzona to prawość Narodu, na którą złoży się jak największa ilość prawych serc, nie uznających żadnych kompromisów z występkiem.

Dla nas zaś, katoliczek, *prawo państwowe nie nie znaczy*, jeśli się sprzeciwia prawu Chrystusowemu, nie możemy zapomnieć o klątwie kościelnej, która obciąża każdą matkę, popełniającą zbrodnię na swem bezbronnem dzieckiem, przez niezachowanie przykazania Bożego: „nie zabijaj”.

Felicja Kowalewska — Kraków.

Opieka nad matką i dzieckiem w pracach Zw. Pr. Obyw. Kobiet.

W lokalu własnym (Brzozowa 2) odbył się w Warszawie zjazd Wydziału Opieki nad Matką i Dzieckiem Zw. Pr. Ob. Kob., z licznie reprezentowanymi delegatkami ze wszystkich dzielnic kraju.

Zjazd powitała przewodnicząca Związku, p. Zofja Moraczewska, która w krótkim, lecz pełnym gębokiej treści przemówieniu, ukazała nowe szlaki pracy społecznej kobiet, gdy oparte o akcję państwową i samorządową, zaczynają współpracować, jako czynnik fachowy w opiece społecznej, pozbywając się szkodliwego dyletantyzmu.

Następnie p. Jaroszewiczowa, kierowniczka wydziału, wygłosiła referat p. t. „Ideologiczne i organizacyjne podstawy naszych prac”. Całe przemówienie natchnione było miłością do sprawy i świadomością potęgi sił twórczych i ochotniczych świata kobiecego.

Po ideowym naświetleniu zadań Związku przez p. Jaroszewiczową, nastąpił odczyt dr. Garlickiej, na temat: „Wytyczne pracy w zakresie opieki nad matką i dzieckiem”. Referat wyczerpywał przedmiot, zmuszał do głębszego zastanowienia się nad tym czynnikiem słabszym w społeczeństwie, jakim jest matka z dzieckiem, a zwłaszcza matka nieślubna; skąpe prawa, brak serdecznego zainteresowania niedołą tych matek przez ogół kobiet. Wiele już zrobiono, że wywalczono pewne prawa dla matek w Kasie Chorych, ale jeszcze dużo wody upłynie, zanim zostaną otwarte przy wszystkich fabrykach żłobki i dziecińce. Przykładem są domy dla matki i dziecka we Francji, które dużo robią w sensie moralnej opieki. Mamy zaledwie 3 żłobki w Warszawie, mimo że fabrykanci zobowiązani są do zakładania ich przy warsztatach, gdy pracuje około 100 kobiet. Tu się otwiera pole pracy dla opiekunów społecznych.

Po referacie dr. Garlickiej nastąpiły sprawozdania delegatek ze stolicy i z prowincji: z Warszawy, Kielc, Radomia, Ostrowca, Lublina, Sokołowa, Włocławka, Łucka, Dubna, Zdołbunowa, ze Stanisławowa, Lwowa, Borysławia, Tustanowice, Kutna, Łodzi, Łęczycy, Warty, Koła, Krakowa, Bochni, Dębicy, Torunia.

Ze sprawozdań widać, oprócz ogromnego zapału do pracy, dokonane rzeczy bardzo realne: domy dla matek i dzieci (Warszawa, Zdobunów, Lwów, Bochnia), przedszkola, żłobki, kolonje, świetlice, dożywianie dzieci szkolnych, dorobek prawie każdego z oddziałów. A pani Moraczewska, słuchając sprawozdań, przytakiwała z uśmiechem rozradowania, jakby chciała powiedzieć: „przyszłość do nas, kobiety, należy!”

Po obiedzie referat p. Michałowskiej, pełen entuzjazmu i przesycony uświadomieniem społecznym, na temat: „Wychowanie obywatelskie”; następnie aktualny referat pani Początkowskiej: „Zagadnienia świetlicowe”.

Pani Początkowska bardzo jasno, rozumnie i z uczuciem wygłosiła swoje przemówienie, a każda ze słuchaczek znalazła w nim to, czego jej brakowało w zrozumieniu ideologii świetlicowej.

Nazajutrz miało miejsce zwiedzenie wzorowego przedszkola, przy ulicy Leszno 11, połączone z wykładem p. Żukiewiczowej, oraz zwiedzenie Zakładu Wychowawczego im. ks. Boduena i wykład dra Kamlera. Podkreślił on z naciskiem, że kierownictwo zakładu usiłuje utrzymać ideologię ks. Boduena na takim wysokim poziomie, na jakim przed 200-stu laty zapoczątkował ją Wielki Jałmużnik.

Zjazd zakończył referat p. Krahelskiej: „Praca młodocianych i zadania służby społecznej”. Uczestniczki, zbudowane pracą i poświęceniem ogólnym, rozjechały się do domów, do rozpoczętych prac, aby dorzucić cegielkę do wspólnej budowy.

Pola Płońska.

Rozwińmy program ankiety gospodarczej.

Z wielkim zaciekawieniem czytałam dotychczasowe odpowiedzi na ankietę gospodarczą „Bluszczu”, a jeszcze z większym oczekuję dalszej akcji, rozpoczętej w ten sposób przez Sz. Redakcję.

Sprawa jest tak ogromna! Obok tego, że przez nasze ręce przepływa moc pieniędzy, równie wielkim jest to zagadnienie dlatego, że tyle potrzeb, od których zależy zdrowie i dobrobyt rodziny, nie czyje inne, tylko kobiece ręce załatwiają. W stosunku do całości zagadnienia, może nasze uwagi są nieraz drobniagowe, jednakże często i drobniagzi są ważne, a jeżeli usunięcie jakichś niedomagań (choćby drobniagowych) nie będzie połączone z wielkimi trudnościami, trzeba, nie tracąc z oczu całości, zająć się i temi drobnymi szczegółami.

Już w kilku odpowiedziach (z Drohobycza i Borysławia) była mowa o tem, w jakich niehigienicznych warunkach odbywa się tam sprzedaż chleba, t. zw. precli i innych produktów spożywczych. Ja mieszkam w Poznaniu, więc tu, gdzie chyba najwyżej w całej Polsce stoi ogół kupiectwa polskiego i, użyjmy tego wyrazu, komfort magazynów i składów. A jednak nawet tu, w Poznaniu, widzę, że istnieje jeden niedobry zwyczaj, który mię bardzo razi: jest to zwyczaj *ślinienia* palców przy braniu cieńszych papierów do opakowania. Szczególnie w wędliniarniach i składach nabiału ze zgrozą obserwuję, jak przemila zresztą i doskonale po kupiecku ułożona i przygotowana paniątka sprzedająca, po uprzejmem zapytaniu o moje życzenie, zdejmując poślinionym palcem arkusik papieru, kładzie go na wagę, a potem tym samym paluszkami pomaga sobie przy układaniu szynki, czy sera! Zdaje mi się, że solidarnie, przez wszystkie kobiety kupujące, zwrócona uwaga na to „ślinienie” palców, oduczylaby w ciągu tygodnia sprzedających

w całej Polsce od tego brzydkiego i niehigienicznego zwyczaju. A jeżeli wilgotny palec ułatwia manipulację przy opakowaniu, należy żądać, aby były na ten cel jakieś gąbeczki wilgotne, albo wałeczki szklane w wodzie. Drobiazg to, zapewne, ale może i nie taki mały z punktu widzenia higieny.

Powinniśmy dalej całą siłą wpływać wszędzie, gdzie mamy dostęp do władz, do zarządów sanitarnych, do związków kupieckich, aby w składach spożywczych pracowały i wogóle z artykułami spożywczymi miały do czynienia tylko *osoby zdrowe!* Przerazenie ogarnia, gdy się widzi, jak w okresie zimowym, w składach pieczywa lub wędliniarniach, nad bułkami i chlebem, mięsem i wędlinami stoi zaziębione biedactwo i kaszle i kicha naokoło!

Jeszcze większa zgroza zdejmuje, zwłaszcza po małych miasteczkach na Kresach, na widok różnych roznosicieli i roznosicielek mleka, t. zw. pachciarzy. Sama widziałam w jednym z miasteczek Małopolski Wschodniej takiego nieszczęśnika, starego żyda, o zupełnie prawie wyżartych oczach, zapewne wskutek jaglicy. Rozwoził mleko. I to mleko piją ludzie... piją dzieci!...

W Poznaniu, jak już wspomniałam, jesteśmy przyzwyczajeni do komfortu w składach, ale czy tak jest wszędzie? Otóż dalszem naszym wymaganiem powinno być żądanie schludności lokali handlowych i czystości ubrań osób, zajętych w handlu.

Wykwalifikowany kupiec poznański wie, że od jego postawy, od jego form osobistych i zewnętrznej strony jego lokalu zależy w wielkiej mierze powodzenie jego firmy; ale czyż nie spotyka się przykładów, że taki nieraz przypadkowy biedny kupiec małomiasteczkowy, niebardzo albo i wcale nieprzygotowany do swego zawodu, paląc papierosa przy obsłudze klienta, wytrząsa mu przypadkiem popiół do torebki z towarem, albo w inny sposób robi sobie najgorszą reklamę.

Te moje skromne uwagi możnaby podciągnąć pod tytuł: *higjena naszych zakupów*, zwłaszcza spożywczych.

Aby nie być jednostronną, zwrócę uwagę i na to, że klienci, a więc my sami, mamy też obowiązek wymagać poszanowania wszystkich przepisów i regul, gwarantujących czystość i najlepsze warunki higieniczne sprzedawanych towarów.

Jestem przekonana, że na ten temat dałoby się wiele, bardzo wiele jeszcze powiedzieć. Materiału ujemnego aż nadto dostarcza nam każdy dzień, każdy plac targowy, niemal każdy krok naszego życia.

Gdy myślę dalej nad ogromem zagadnień, poruszonych w naszej ankiecie, przychodzę do przekonania, że przy całej akcji, która powinna pójść wszczep i w głąb jak najdalej, może dobrzeby było doraznie wybrać choćby jeden ograniczony kompleks zagadnień i temu jednemu poświęcić najpierw uwagę w praktyczny sposób, a gdy się z tem załatwimy, iść dalej, krok za krokiem.

W takiej kolejności spraw widzę na pierwszym miejscu *chleb*, na drugim *odzież*, na trzecim nasze *mieszkanie* i t. d.

Nie wynika z tego, aby już dziś, równocześnie nie działać i dla innych zagadnień, chodzi mi tylko o to, aby przez możliwe skoncentrowanie akcji na jednym odcinku uzyskać jak najrychlejsze, wyraźne rezultaty. Uważam to za bardzo ważne ze względu na szerokie bierne warstwy, które łatwiej dadzą się poruszyć jedną jakąś widoczną korzyścią, już osiągniętą, niż wielkim zagadnieniem, które w ich oczach przerasta ich siłę, czy możność.

W następnych artykułach postaram się więc omówić kolejno szczegółowiej zagadnienie chleba i produktów spożywczych. A. W. — Poznań.